

ZNAD WILII



DWUTYGODNIK

Rok IV, nr 15 (68)

Wilno, 19 lipca - 1 sierpnia 1992

cena 3 rb.
(1500 zł., indeks 383678)

Nie chcemy mylić dwóch rzeczy: przekonywania i informowania

„Znad Wilii” rozwija skrzydła - witamy polską rozgłośnię

Z Walerym Tankiewiczem,
dyrektorem radia „Znad Wilii”
rozmawia
Wanda Marcinkiewicz

- Na wstępie prosiłabym kilka słów o sobie.

- Z zawodu jestem prawnikiem, z zamiłowania historykiem. Po ukończeniu studiów pracowałem jako nauczyciel w Szkole Średniej im. W. Syrokomli. Żona, mam dwoje dzieci...

- Jak doszło do powstania Radia „Znad Wilii”?

- Pomyśl o utworzeniu pierwszej polskiej prywatnej rozgłośni radiowej powstał dawno, faktycznie po założeniu dwutygodnika „Znad Wilii”. Zaczął on się jednak realizować w momencie zetknięcia się z przedstawicielami Radia „Solidarność” z Warszawy. Pierwszym podstawowym partnerem była i jest ta rozgłośnia. Są kontakty też z poznańskim Radiem „S”. W trakcie wstępnych przygotowań doszły inne instytucje, takie jak rozgłośnia BBC, z którą podpisaliśmy umowę o retransmisji programów bezpośrednio z Londynu na nasz eter. Oczywiście, sami dokonujemy wyborów, co zaproponować Słuchaczom. Od BBC dla realizacji tego zamierzenia dostaliśmy antenę satelitarną. Poza tym BBC ma przyjąć na przeszkolenie jednego dziennikarza od nas.

- Czy te kontakty dotyczyły jedynie rozgłośni?

- Nie tylko. Następną taką instytucją, która się przyczyniła w liczący się sposób do powstania naszego radia, jest Fundacja im. Batorego. Pokryła ona, powiedzmy, część naszych wydatków. W tej chwili nie mogę jeszcze powiedzieć jak, ponieważ nie mam wyników wydatków finansowych. No, i przede wszystkim spółka akcyjna „Znad Wilii”, która prowadzi działalność komercyjną i to radio finansuje. Oprócz tego pewne perspektywy mogą wynikać ze współpracy z Instytutem Studiów Europejskich w Rzymie.

- Dobrze chęci, to najczęściej mało. Po zdobyciu środków pozostaje sprawa sprzętu, jak też jego opanowania.

- Sprzęt otrzymaliśmy od Radia „Solidarność”. W Radiu „S” w Poznaniu była na przeszkoleniu jedna z naszych dziennikarek, Ola Akińczo, która ma pracować jako reporter.

- Wielu naszych Czytelników zapewne interesuje przebrnięcie przez labirynt



Wstudiu rozgłośni radiowej „Znad Wilii”. Walery Tankiewicz (od prawej) Leonard Tupko i Rajmund Kowalkow
Fot. Piotr Jankowski

biurokratyczny przy realizacji podobnych pomysłów.

- Z zarejestrowaniem rozgłośni nie było żadnych trudności, ponieważ formalności załatwiono zgodnie z ustawą, która reguluje działalność prywatnych środków masowego przekazu na Litwie, w tym radia. Gorzej jest z uzyskaniem częstotliwości. To już zależy od służb specjalistycznych i od posiadania nadajnika. Jeśli rozgłośnia dysponuje własnym nadajnikiem, to musi uzyskać tylko częstotliwość i więcej nie potrzeba żadnych zezwoleń. Natomiast w naszym przypadku, gdy nadajnik jest wynajmowany w państwowej firmie, niezbędna była akceptacja w zarządzie Litewskiego Radia i Telewizji. Trochę to trwało, właśnie ze względu na przebrnięcie przez różne mechanizmy biurokratyczne. W sumie jesteśmy w pełnej zgodzie ze wszystkimi wymaganiami prawnymi Republiki Litewskiej, posiadamy wymagane licencje, zezwolenia itp.

- 1 lipca niewątpliwie przejdzie do historii Radia „Znad Wilii”, całej szerokiej działalności skupionej wokół tego tytułu. Czy pierwsze dni pracy przebiegały zgodnie z planem?

- Najwięcej trudności wynikało ze skompletowaniem sprzętu, przywiezieniem go, zmontowaniem. Z początku planowaliśmy wszystko solidnie przyszy-

kować, dobrać i przeszkolić ludzi, przez jakieś dwa tygodnie popracować bez wchodzenia do eteru. Wszystko potoczyło się inaczej - od razu mieliśmy eter. Dlatego w czasie nadawania programu wiele rzeczy robimy po raz pierwszy. Może to lepiej dla nas, ale gorzej dla Słuchaczy, których może irytować monotonia. Najwięcej jest muzyki, serwisy informacyjne są jeszcze nadawane nieregularnie, brakuje reportaży, na razie nie ma programu jako takiego poza muzyką. Siłą rzeczy, choć wystartowaliśmy niejako przedwcześnie, w trakcie pracy w eterze będziemy to wszystko uzupełniali. Sądzę, że już od pierwszego sierpnia program będzie bardziej urozmaicony. Oczywiście, ciągle będzie się zmieniał, ale nie zabraknie informacji, również w językach litewskim i rosyjskim, reportaży i gości studia. Wszystko to jednakże znajdzie się w ramach układu studia rozrywkowego, muzyczno-informacyjnego. Nie będzie więc głębokich rozważań, długich dyskusji. Również politykierstwa.

- Czyżby to oznaczało, że spoglądać na świat będziecie tylko poprzez pryzmat różowych okularów, w oderwaniu od realiów?

- Oczywiście, nie zastosujemy stuprocentowej blokady na jakiś temat. Tylko dla polityki przeznaczamy marginalne miejsce. Rzecz jasna, nie da się jej uniknąć

choćby w serwisach, ale informacje będą pochodziły z agencji. Coraz więcej ludzi jest przesycanych i zmęczonych polityką. Będziemy nagłaśniać różne opinie na aktualne tematy. Nie chcemy mylić dwóch rzeczy: przekonywania i informowania.

- To bardzo ważne. Powracając do muzyki. Obecnie w Wilnie działają już dwie stacje litewskie o takiej konwencji, które są podobne do siebie jak dwie krople wody. Nadawanie angielskiej muzyki, chyba w 90 proc., tego za mało, chcielibyśmy obecności polskiej muzyki, miłego i fachowego słowa wiążącego...

- Wszystko to z czasem się wykrystalizuje. Natomiast będziemy grali muzykę jak leci, przede wszystkim zachodnią. Po prostu jest jej więcej. Polskich piosenek, nagranych na płytach kompaktowych, które preferujemy ze względu na jakość i operatywność, jest niewiele. Zaś kształt naszych programów w dużej mierze będzie zależał od Słuchaczy.

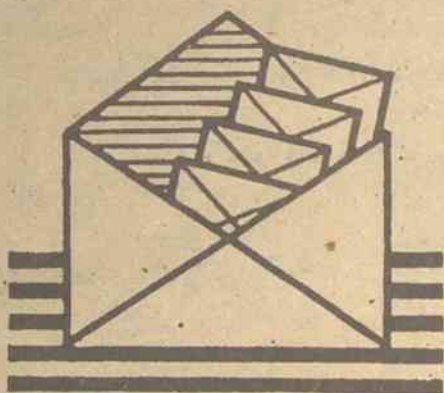
- Pierwsze programy, to wzruszenie, no i trema. Jednak to z

czasem przechodzi, pozostaje kwestia wiedzy i warsztatu zawodowego. Kim są ludzie, którzy realizują program?

- Zespół jest już sformowany całkowicie i liczy 15 osób, z tego 11 pracuje bezpośrednio przy realizacji programu. W większości są ludzie z wykształceniem wyższym, przeważnie humanistycznym i po polonistyce wileńskiej, są też po studiach dziennikarskich, mamy matematyka. Wszyscy mają sporo pomysłów i wiele potrafią. Program rozkręca się więc z dnia na dzień.

- „Tak proszę Państwa, to nie pomyłka. Dźwięki, które teraz leżą z anteny, są to dźwięki z polskiej rozgłośni radiowej „Znad Wilii z Wilna” - takie były pierwsze słowa. Aby program zdobywał coraz więcej słuchaczy podajmy jego parametry.

- Radio „Znad Wilii” emituje swe programy na falach ultrakrótkich w paśmie 69,05 MHz od godziny 14 do 24. Gwarantowany zasięg słyszalności wynosi 70 km w promieniu od Wilna. Mamy potwierdzenie Słuchaczy z Ejszyszek, że nas dobrze odbierają. Telefon 42 94 72 - bezpośrednio do studia, a często wprost na antenę. Zapraszam do współpracy, interesuje nas także opinia słuchaczy, ich zdanie, ponieważ chcemy utrzymywać ścisłe kontakty z odbiorcą naszych programów, stać się ich przyjaciółmi.



POCZTA FUNDUSZU

Głos z Moskwy

Z całego serca dziękuję za gazetę. Jestem Polką, w Moskwie od listopada 1948 roku. Moja rodzina pochodzi z powiatu brasławskiego, gmina Leonpol - b. województwo wileńskie. W tymże właśnie roku moich rodziców wywieziono, ponieważ byli dobrymi rolnikami, choć mama nie umiała pisać i z trudem czytała. Ojciec nauczył się tego sam. Czoro dzieci, w tym i mnie wypędzono ze szkoły, bo byliśmy z „kula-ków”. Po deportacji w głąb Rosji do Moskwy zabrała mnie ciotka, która tam mieszkała od 1912 roku. Tu też poznałam swego męża, w 1951 roku zostałam mężatką, jako 19-letnia dziewczyna.

Ukończyłam tylko trzy klasy polskiej szkoły, ale wszystko co polskie, jest mi bardzo drogie. Dlatego bardzo cieszę się z nadsyłanej gazety. Zapraszam do Moskwy. Szczęść Boże!

Leokadia Berioza
Moskwa, Rosja

Z listu byłej wilnianki

W Wilnie bardzo mi się podobało, mimo zmiennej pogody.

W czasie ostatniego pobytu w Wilnie zatrzymałam się u koleżanki na Antokolu. Tu też, w pobliżu kościoła św. Piotra i Pawła urodziłam się. To miejsce dostarczyło mi wiele wzruszeń. Stąd przesłałam pismo aż do Niemenczyńskiej Szosy. Odwiedziłam Połpińską, Kolonię Magistracką, obejrzałam domek, w którym mieszkałam w czasie wojny razem z chrestną Matką. Podeszłam do ścian o.o. Redemptorystów - kiedyś tam śpiewałam w chórze. Teraz w tym domu szpital dla dzieci chorych na gruźlicę. Był w tym dniu deszcz, więc prędko musiałam powrócić z powrotem niosąc w rękach „bukiet” gałązek z owocowych drzew przy kościele...

Wdzięczna jestem za nadsyłanie pisma, za szlachetne serca względem mnie - tak dalekiej i samotnej. Jak dziecko cieszę się z każdego numeru. Obawiam się tylko, co robić na drugie półtorcze, bo z prenumeratą trudno. Co będzie też, jak Litwa wprowadzi własną walutę? Nie chcę pozostać w tyle i stracić to, co Bóg pozwolił mi otrzymać.

Jadwiga Wanda Bielikowa

Zawołzsk, obwód iwanowski, Rosja

Od redakcji: Takich obaw nie ma, gdyż będzie Szanowna Pani otrzymywać nasze pismo gratisowo w ramach Funduszu im. Prezydenta Edwarda Raczynskiego.

Chcę otrzymywać „Znad Wilii”

Zaprenumerowałam Wasz dwutygodnik na pierwsze półtorcze i nie zawiodłem się: jesteście pismem, które konsekwentnie dąży do stworzenia atmosfery zaufania i zgody. Poza tym dużo piszecie o tradycjach i historii współzycia różnych narodowości i ich wzajemnym wzbogacaniu się duchowym i kulturalnym. Wszystko to bardzo mi się podoba! Wydaje się, że ludziom, jak i narodom i w sumie państwu, brakuje dialogu i właśnie m.in. „Znad Wilii” stara się wypełniać tę pustkę.

Niestety, nie udało mi się zaprenumerować Waszej gazety, bo pocztą nie załatwia już tych formalności dla państw bałtyckich. Czytałam, że macie specjalny fundusz dla rodaków w Rosji i w innych republikach byłego Związku. Nie jestem Polakiem, ale duchowo i emocjonalnie czuję się związany z Litwą - moja żona stąd pochodzi (też Rosjanka) i bardzo tęskni do stron ojczystych. Mamy dużo Przyjaciół na Wileńszczyźnie i w Małej Litwie, zostałam ochrzczony w prawosławnej cerkwi w Wilnie. Jeśli jest możliwość, prosilbym o wysłanie dla nas „Znad Wilii”.

Siergiej Bazłow,

Twer, Rosja

Od redakcji: Dziękujemy za list, napisany w tak poprawnej polszczyźnie. Informujemy też, że w ramach Funduszu będziemy dla Państwa wysłać nasz dwutygodnik.

INFORMACJE • INFORMACJE • INFORMACJE

- ☐ Papież Jan Paweł II przyjął zaproszenie do odwiedzenia Litwy. Wizyta nastąpiłaby we wrześniu przyszłego roku.
- ☐ 10 lipca w Helsinkach przewodniczący RN RL Vytautas Landsbergis spotkał się z prezydentem RP Lechem Wałęsą. Jego przyjazd na Litwę - przypuszcza się - odbędzie „jeszcze przed wizytą papieża Jana Pawła II”.
- ☐ 14 lipca większością głosów (69 do 6) deputowani Rady Najwyższej RL wyrazili wotum nieufności premierowi Gediminasowi Vagnoriusowi.
- ☐ 6 lipca Litwa obchodziła Dzień Państwa. 739 lat temu został ukończony król Mendog.
- ☐ Rada Najwyższa Litwy podała oficjalnie do wiadomości, że wybory do Sejmu odbędą się 25 października br.
- ☐ Rząd RL ogłosił stan klęski żywiołowej w republice. Powodem jest susza, trwająca ponad dwa miesiące. Miejscami wypadło 5 proc. opadów zwykłej normy. Jeśli nie nastąpi poprawy sytuacji przewiduje się, że średnie plony będą co najmniej o połowę mniejsze.
- ☐ Minimalnie w tym roku Litwa potrzebuje 800 tys. ton zboża paszowego, 400 tys. ton zboża spożywczego i 150 tys. ton soi. Prośbę o taką pomoc rząd zgłosił do Wspólnoty Europejskiej i Banku Światowego.
- ☐ Bank Światowy przyznał Litwie pożyczkę w wysokości 56 mln dolarów USA. 7 lipca została członkiem tego Banku, jako 161 kraj.
- ☐ Rosja oraz niektóre inne państwa WNP są dłużne około 3 mld rubli rolnikom litewskim za mleko i mięso.
- ☐ Z Antokola wyprowadzili się słuchacze Wyższej Szkoły Radioelektronicznej Obrony Przeciwlotniczej byłej Armii Sowieckiej. Szkoła zajmowała 20,7 ha, w koszarach obrócono pałac Sapiehow, w kościele mieściły się magazyny, zniszczono stary wodociąg (z 1660 r.), wycięto drzewa parkowe.
- ☐ Pełnomocnik rządu na rejon wileński bez uzgodnienia z władzami miasta podpisał zarządzenie, na mocy którego w podwileńskiej wsi Taranda zostały przydzielone parcele na budowę domów indywidualnych dla 23 deputowanych do Rady Najwyższej oraz dla 49 pracowników aparatu parlamentu litewskiego - w czasie, kiedy rdzenni mieszkańcy w żaden sposób nie mogą odzyskać swej ojowizny.
- ☐ Rząd RL powziął uchwałę o wydzierżawieniu 100 ha wybrzeża nadmorskiego Litwy firmie USA na 99 lat.
- ☐ Przewiduje się, że w końcu roku na Litwie będzie ponad 100 tysięcy bezrobotnych.
- ☐ Od 7 lipca o 70 proc. zdrożał chleb. Podrożała też energia elektryczna, telefon, napoje alkoholowe i papierosy (2-2,5 razy).
- ☐ W dniach 12 - 16 lipca odbyła się z Ejszyszek do Ostrej Bramy pieszka Pielgrzymka Miłosierdzia.
- ☐ Z okazji 48 rocznicy wyzwolenia Wilna Klub Żołnierzy Armii Krajowej Ziemi Wileńskiej był inicjatorem złożenia wieńców w miejscach upamiętnionych walkami.
- ☐ Jako delegaci na Światowy Zjazd Polonii i Polaków z Zagranicy w Krakowie z Wilna wyruszy Jan Mincewicz, Ryszard Maciejki-niec, Romuald Brazis, Teresa Sokołowa, Janina Liminowicz oraz Henryk Mażul.
- ☐ Spośród 25 osób wyróżnionych nagrodami Polcul Foundation w Australii na rzecz zaangażowania w ruch kultury i budowy społeczeństwa obywatelskiego znaleźli się Romuald Gieczewski, Władysław Korkuć oraz Dominik Kuziniewicz.
- ☐ Romuald Mieczkowski został laureatem konkursu prozatorskiego „Głosu Wielkopolskiego” w Poznaniu oraz V Konkursu Poetyckiego o Buławę Hetmańską w Białymstoku.
- ☐ W Wileńskim Centrum Sztuki Współczesnej do 19 lipca trwała wystawa światowego zdjęcia reporterskiego „World Press Photo”.
- ☐ Na Litwie praktykę lekarską prowadzi 665 lekarzy. Zarejestrowano 425 prywatnych placówek leczniczych.
- ☐ Od jesieni wprowadzona zostanie opłata za wjazd na Starówkę wileńską, wprowadzi się też opłatę za większość placówek parkingowych.
- ☐ Dwie godziny dziewczyny „do towarzystwa na każde życzenie” kosztują w Wilnie 100 dolarów. Większość dochodów przypada „firmie”.
- ☐ Dom Pogrzebowy w Wilnie wprowadził makabryczną innowację - w związku z wysokimi cenami trumien, na życzenie rodziny chować zmarłych w całunach.
- ☐ W więzieniu na Łukiskach w Wilnie przebywa 1842 więźniów.

Przyszli architekci z Polski w Wilnie

- Rozmawiamy już praktycznie po dwutygodniowym pobycie Pani w Wilnie w charakterze opiekunki grupy studenckiej Politechniki Gdańskiej, czyli po okresie przeznaczonym na przeprowadzenie tu praktyki. Jeżeli można tak postawić pytanie, czego dokonaliście?

- Przeprowadziliśmy inwentaryzację dwóch obiektów w Wilnie, tzn. dokonaliśmy wszechstronnych pomiarów - elewacji, okien, detali, itp. Praca dość żmudna, ale konieczna dla przyszłego architekta. Uzyskany materiał będzie stanowił podstawę do przyszłego ewentualnego projektowania restauracji i obiektów.

- Jakie obiekty były przedmiotem pomiarów?

- Uwzględnić mogliśmy w tak krótkim czasie tylko dwa obiekty. Były to obiekty sakralne - zrujnowany kościół św. Stefana. Ten zajął nam gros czasu, bo trzeba było zająć się nim gruntownie, nie mieliśmy tu żadnych danych, więc wszystkiego dokonaliśmy po raz pierwszy, sporządziliśmy kreslenia, jak wiadomo potem to wszystko pójdzie na kalke do powielania i ewentualnego wykorzystania dla użytkownika, przede wszystkim dla konserwatora. Na razie to są rysunki w ołówku, zdjęcia. Drugi obiekt, który nazwałabym wzorcem konserwatorskim dla praktykantów studentów to kościół wileński św. Mikołaja. Jest on zadbane, na bieżąco konserwowany i łatwo z nim szło.

- Na jakiej podstawie doszło do praktyki studentów polskich na Litwie?

- Stosunkowo niedawno jeszcze, przed paru miesiącami doszło do zawarcia umowy między uczelniami - naszą Politechniką Gdańską i Wydziałem Architektury Wileńskiego Uniwersytetu Technicznego. Jeden z punktów umowy właśnie obejmował wzajemną wymianę praktyk. Jednocześnie z naszym przyjazdem do Wilna, studenci litewskiej uczelni przyjechali do Polski. Nawet tym samym autobusem jedziemy, tzn. my przyjechalibyśmy do granicy, a oni doń wsiedli, a my do z kolei tego, którym oni przyjechali do granicy. Tak też będzie w odwrotną stronę. Jest to bardzo wygodne i zmniejsza jako tako wydatki, bo z finansami obecnie w Polsce na uczelniach nie przelewa się. Stąd szukamy optymalnych rozwiązań dla prowadzenia m.in. praktyk, jak najbliższe, jak najmniej kosztowne.

- Kto się opiekował bliżej wami w Wilnie?

- Mieliśmy stałą pieczę pracowników Wydziału Architektury naszej partnerskiej pla-

cówki przede wszystkim, no i Fundacji Kultury Polskiej na Litwie.

- Kto decydował o wyborze wspomnianych obiektów? Czy jakoś już wyjeżdżając z kraju przemyśleliście się do tego konkretnie?

- Nie, wcale nie. Mieliśmy całkowicie wolny wybór, a trafiły te obiekty, bo tak nam zasugerowano w FKPL. Tak sobie doszliśmy do decyzji, że nam to odpowiada. Co prawda, nie obeszło się bez określonych formalności stosownych decydentów, czyli wszelkich zezwoleń, ale właśnie tu mieliśmy tę pomoc ze strony Wydziału Architektury i pana Sosnowskiego jako inspektora ochrony zabytków. Gwoli ścisłości na dokumencie zezwalającym nasze czynności znalazło się aż pięć pieczęci, podpisów... A klucz, np. od kościoła św. Stefana po poszukiwaniu u poprzednich jego użytkowników.

**Z asystentką
Romaną Cielątkowską z Katedry
Historii i Teorii Architektury
Wydziału Architektury
Politechniki Gdańskiej
rozmawia Danuta Piotrowiczowa**

ków - jakieś magazyny, coś tam jeszcze, w końcu się znalazł w posiadaniu FKPL...

- Czyli jak zwykle, zanim wskażesz na kogoś palcem, spojrzysz na siebie. Czy Pani po raz pierwszy na Litwie, w Wilnie?

- Tak. Ale orientowałam się w nim, rzecz zrozumiała, w tym starym Wilnie. Mniej może w architekturze współczesnej.

- No i jak Pani jako fachowiec, jako projektant budownictwa widzi pod tym względem Wilno, zwłaszcza że ma Pani skalę porównawczą z budownictwem gdzie indziej?

- Ogólne wrażenie, że Litwini dobrze budują. Imponuje tu inne podejście w ogóle do zabudowy, zachowany jest wysoki standard, to co nazywa się współczesność. Zauważalna jest tzw. mała architektura, powiedzmy typu wykończenia placzków, gdzie ustanowione są nowe pomniki. Np. otoczenie pomnika Gucewicza, inne, imponuje dbałość o rozwiązanie niektórych wnętrz. Dość dużo tego zauważyłam, np. wykorzystanie piwnic, małe lokaliki, bary zakładowe, białe, czyste, z zachowaniem wysokiego poziomu, nowoczesnych rozwiązań projektowych.

- Rozumiem więc, że mieliście nieco czasu na poznanie Wilna, ale i nie tylko Wilna?

- Obejrzelśmy owszem sporo, co się dało, łącznie ze starą architekturą i nowymi dzielnicami, obiektami. Ciekawe są poszczególne obiekty, m.in. zwróciłam uwagę na te dość nieliczne z okresu międzywojnia, jest ich tu co prawda, niedużo, poza tym obejrzelśmy Zamek Trocki, odbyliśmy wycieczkę do Kowna, o tam właśnie sporo budownictwa przedwojennego.

- Czy coś szczególnie Panią zainteresowało?

- Pożajście, odbudowa tamtejszej świątyni. Znac solidną pracę, zaangażowanie architektów, konserwatorów, historyków sztuki. Obiekt naprawdę wspaniały, widać efekty pracy w jego orestaurowaniu. Piękne położenie, otoczenie.

- Jak wyglądają perspektywy tej współpracy?

- Faktycznie, jak powiedziałam, wszystko zależy od strony finansowej uczelni. Na razie mamy widoki na najbliższe półtorcze, stwierdził, że Uniwersytet Techniczny w Wilnie, jego Wydział Architektury ma żywe kontakty, m.in. z Niemcami, Skandynawią. Chcielibyśmy też je nadal z obopólnym pożytkiem utrzymywać. Myślę, że nie powinno nic stać na przeszkodzie, jeżeli jest dobra wola z obu stron.

- Właśnie u nas tu różne są nieraz układy, Pani się z pewnością zorientowała. Czy w waszym przypadku doświadczyliście tego niby tzn. konfliktu polsko-litewskiego, niech tak prowokacyjnie postawię pytanie?

- Przyjechalibyśmy absolutnie nie nastawieni na jakieś rozstrzygnięcie tutejszych konfliktów. Nam chodzi o utrzymanie dobrych rzeczowych stosunków, jakiegokolwiek tu emocje innej natury nie mogły wchodzić w rachubę. Jesteśmy młodym pokoleniem i nie żyjemy do nikogo, nieprzyjaźni. Realia przyjmujemy tak jak jest. Współpracę z Litwą traktujemy tak samo, bądź to Francja, czy jakieś inne państwo.

- Może dlatego, że Pani nie pochodzi stąd?

- W trzech czwartych właśnie stąd, jak też część naszych studentów wywodzi się z rodzin pochodzących z kresów. Ale to wcale nie zmienia postaci rzeczy.

- A propos, jak liczna grupa studentów i czy Pani sama daje radę.

- Grupa 12 studentów z trzeciego roku, ponadto jako opiekunowie jesteśmy z asystentem kolegą Robertem Hirschem.

- Rozumiem więc, że współpraca z uczelnią litewską będzie się rozwijała. Życzę powodzenia we wspólnym pomyślnym działaniu.

POLACY W ROSJI. WOLNY UNIWERSYTET GENERAŁA ALFONSA SZANIAWSKIEGO

Grażyna Tatiana Szyszowa



Alfons Szaniawski

Nasza historia jest pełna plam białych i czerwonych, coś wiemy, o czymś niedawno się dowiedzieliśmy, ale całej prawdy wciąż nie znamy. Niszczyć zawsze łatwo, wydzierać całe karty z ksiąg, fałszować historię. Bo co teraz wiemy, co było tuż przed 1917 rokiem? Jakże często prawie nic. Historia pozostaje wypaczona, zbyt długo była widziana w krzywym zwierciadle zbankrutowanej ideologii, nazywającej zbrodnię cnotą, a nie dostrzegającej prawdziwych cnot.

Ot, choćby zapytać o Polaków w Rosji. Co zrobili tu dobrego? Czy się odznaczyli? Nawet teraz jeszcze odpowiedź będzie jednostronna, bo od razu się przypomniał Dzierżyński, który groźnym, „przenikliwym” wzrokiem patrzył do sierpnia 1991 roku na Moskwę spod Łubianki, aż mu zarzucono na szyję stalowy stryżek. Może jeszcze Julian Marchlewski, któremu na razie bardziej się powiodło, bo w dalszym ciągu Milutinskij zaulek, niedaleko teje Łubianki, nazywa się ulicą Marchlewskiego. Kto jeszcze? Dlaczego z takim trudem się wspomina inne nazwiska i dzieje rosyjskie Polaków? Czy dlatego, że zło - krzywdy ludzkie, łzy i krew - na długo pozostają w pamięci, a dobre uczynki jakże prędko się zapominają?

Na szczęście Polska dała Rosji nie samych katów, listę by można było sporządzić. Tu przypomnijmy jedno nazwisko: Alfons Szaniawski herbu Junosza. Generał Alfons Leonowicz Szaniawski, jak go nazywano w Rosji, człowiek z pięknej legendy, wędrującej dotychczas w polskich książkach - z daleka od Rosji, dla której tyle dobrego zrobił i w której go zapominano.

Legenda mówi, że Alfons Szaniawski był jednym z warszawskich chłopców, porwanych przez Paskiewicza po klęsce powstania listopadowego i wywiezionych kibitkami do Rosji, wychowywanych w garnizonach wojskowych i oficerskich korpusach na wiernych janczarów cara. Bardzo bogato się ożenił z syberyjską dziewczką, był inżynierem, generałem, milionerem i kończąc swój żywot w Moskwie zrobił zapis w testamencie na wolny uniwersytet, nazwany przez wdzięcznych moskwiaków imieniem generała Szaniawskiego...

Alfons Szaniawski nie był warszawskim chłopcem porwanym przez Paskiewicza. Urodził się 9 lutego 1837 roku w Szaniawach ówczesnej gubernii siedleckiej. W Polsce spędził tylko pierwsze lata życia, pamiętał je jako lata dzieciństwa nawet w starości, wspominał, że pobierał nauki w prywatnym kolegium założonym przez biskupa Szaniawskiego dla chłopców z rodu Szaniawskich. Pamiętał rodziców, przyjaciół zabaw dziecińczych, rodowe gniazdo - Szaniawy. A przecież to było dawno temu - w innym kraju i w innym życiu...

Miał 9 lat, kiedy został oderwany od rodziny, od tego, co było miłe, swojskie, domowe, wywieziony w nieznane. Była zima, luty 1846 roku, kiedy przyjechali po niego obcy żołnierze. Rozumiał, że żegna rodziców i swój kraj.

Właściwie stał się zakładnikiem Rosji, gdzie miał teraz żyć i pobierać nauki w wojskowych szkołach. Słyszał, jak w domu mówiono na te przymusowe nauki dla polskich chłopców z rodzin szlacheckich - „wychowanie na janczarów dla cara”. Wiedział, że to ma być i jego los. Janczarem jednak nie został, chociaż pokochał ten obcy kraj i za ojczyznę uznał.

Trafił do wojskowej szkoły dla nieletnich chłopców w Tule, włożył mundur kadeta i uczył się rosyjskiego języka, historii, wiary. Zdolny, bystry chłopak potrafił prędko się oswoić w nowym otoczeniu, nauka nie była tak straszna, jak się wydawało na początku, tym bardziej, że został jednym z lepszych uczniów, profesorowie i koledzy lubili go, a on, jak sam później o tym wspominał, właśnie w Tule „pokochał wiele rosyjskich rzeczy” (jeden z rosyjskich historyków później z całą powagą doda, że udowodnił szczerości swoich uczuć do Rosji żeniąc się z Rosjanką). Po ukończeniu szkoły w Tule został zaliczony do orłowskiego korpusu (w mieście Orzeł), tam kontynuował studia przez kolejne

dwa lata, potem został przeniesiony do pułku w Petersburgu, gdzie otrzymał nominację do gwardii. Na pamiątkę ze szkół otrzymał wysokie odznaczenie - srebrny puchar, który musiał sprzedać na mundur i ekwipunek gwardzisty.

Był to koniec lat 50 XIX wieku. Porażka w wojnie krymskiej nauczyła wojskowych i świeckich dostojników szacunku dla nauki i wiedzy. W tym właśnie czasie wielu uzdolnionych oficerów skierowania otrzymuje do Akademii Sztabu Generalnego w Petersburgu. Trafił tam też Alfons Szaniawski. Najlepsi profesorowie Uniwersytetu Petersburskiego wykładają dla wojskowych w Akademii, z kolei oficerowie uczęszczają do uniwersytetu na lekcje wybitnych wykładowców.

Alfons Szaniawski ukończył Akademię 9 maja 1861 roku. Jego imię zostało wyryte na marmurowej płycie w Akademii - bo znowu był jednym z najlepszych studentów. Młodego utalentowanego oficera zauważył generał-feldmarszałek Dmitrij Milutin. Zdawało się, że na Szaniawskiego czeka świetna kariera, miał zostać docentem w Akademii, szkolić kadry dla wojska i sam tej pracy pragnął, ale na przeszkodzie stanęło zdrowie, nadwężone wilgotnym klimatem Petersburga. Zachorował na gruźlicę, wyrok lekarzy był nieubłagany - żadnej pracy gabinetowej, ruch, świeże powietrze, życie garnizonowe być może - i przede wszystkim jak najdalej od Petersburga. Choroba wniwecz obróciła więc wszystkie plany. Wyjechał z Petersburga, ale dokąd? Generał-gubernator Wschodniej Syberii i hrabia Mikołaj Murawjow-Amurski potrzebuje energicznych i wykształconych oficerów dla oswojenia nowych ziem za Bajkałem. Alfons Szaniawski przyjmuje propozycję hrabiego i wyjeżdża na Daleki Wschód. Uniknął więc losu janczara, nie musiał walczyć z powstańcami w Polsce, przelewać bratnią krew na rozkaz cara. W Syberii spędził długie i obfitujące w przeżycia 10 lat.

Życie było tam zupełnie inne, w niczym niepodobne do społecznego. Ale Szaniawski nie narzekał na dzikie - szczególnie po stolicy - warunki. Długie ekspedycje w nieznane, często bezludne tereny, którym dowodził, były czymś nowym. Poznał inny świat, ludzi. Główną pracą było robienie fachowych map kraju, który był wszak częścią olbrzymiej Rosji. Oprócz tego Szaniawski zajmował się pracą społeczną, zakładał ośrodki oświaty na oswojonych już ziemiach, co nie obeszło się nieraz bez gorzkiego zawodu. Na długo pozostała w pamięci klęska, doznana w mieście Czycie, gdzie Szaniawski pomagał Buriatom otworzyć szkołę średnią - gimnazjum. Buriaci sami zebrali pieniądze na otwarcie szkoły, ale chęć nauki nie spodobała się irkuckiemu biurokracie od oświaty - nie mógł zrozumieć, po co dzieci Buriatów mają uczyć się np. greckiego i łaciny. Po wielu staraniach i wysiłkach - i Buriatów, i popierających ich sprawę Rosjan, i Szaniawskiego, po apelacjach w wyższych instancjach władzy, nadszedł ostateczny wyrok Rady Ministrów z Petersburga: „Gimnazjum niepotrzebne. Wystarczy szkoła początkowa”. Na szczęście, rozgoryczone

nie to nie zniechęciło Szaniawskiego do dalszej pracy oświatowej.

W Irkucku Alfons Szaniawski poznaje swoją przyszłą żonę, Lidię. Jej ojciec, bogaty rosyjski przemysłowiec Aleksy Rodstwiennyj, ma kopalnię złota i uchodzi za jednego z najbogatszych ludzi Syberii. Lidia, jedyna córka i dziewczka, dobrze wykształcona słynie z poglądów emancypantki - głosi ideę wyższego wykształcenia dla kobiet, a to już prawie rewolucja dla patriarchalnej Rosji 60-tych lat XIX wieku. Za pieniądze ojca, nie oszczędzając wysiłku, zakłada szkoły i gimnazja. Zwolennikiem edukacji dla jak najszerzych warstw społeczeństwa jest też Alfons Szaniawski. Wspólne ideały i praca zadziergnęły między nim a Lidią nici ciepłego uczucia, które na razie pozostają tylko więzami szacunku i przyjaźni. Na przeszkodzie miłości stoi kopalnia złota. Szaniawski chociaż szybko awansuje, jest tylko oficerem na państwowym wiktzie. Legenda kłamie - nigdy się nie ożenił z córką milionera. Znadto kocha wybrankę, żeby pozwolić na to, by o niej mówiono, że kupiła sobie męża, a jego posądzano o to, że się ożenił dla milionowego posagu. Muszą się rozstać.

W 1871 roku ministerstwo wojskowe rozpoczyna przygotowania reformy wojska, mającej na celu wprowadzenie ogólnego obowiązku służby i zmianę starego systemu poboru do wojska. Feldmarszałek Milutin przypomina o Szaniawskim i wzywa go do Petersburga, powierzając mu opracowanie porządku poboru i służby wojskowej Kozaków. Alfons Szaniawski - już w stopniu generała - z właściwym mu zapałem i energią zabiera się do pracy, spędzając w kancelarii czasem do 10 godzin dziennie.

Tymczasem w Irkucku umiera Aleksy Rodstwiennyj, jego dziedziczka stwierdza (chyba z ulgą?), że kopalnia złota jest wyczerpana i nie przyniesie już zysku. Co prawda, po śmierci ojca Lidii zostało jeszcze (oprócz domu w Irkucku) 50 tysięcy rubli kapitału obrotowego - ogromna na te czasy suma. Udaje się więc do Petersburga i rozpoczyna starania o założenie przy ministerstwie wojskowym wyższych żeńskich kursów medycznych, ofiarując na te cele cały swój majątek. Prosi o pomoc w tej sprawie Alfonsa Szaniawskiego - wysoko cenionego przez samego Milutina i znającego w ministerstwie wielu urzędników. Czynnie jej pomaga, popiera sprawę i po wielu zabiegach kursy są otwarte. I prawie natychmiast Alfons Szaniawski zaręcza się z Lidią - teraz są równi, bogactwo nie stoi na przeszkodzie. Ślub biorą w Moskwie, gdzie się zatrzymali po drodze z Petersburga do Syberii, a miodowy miesiąc spędzają w ciasnej kibitce, wędrując za Ural, są szczęśliwi w tej niekończącej się podróży przez bezludne bezkresne stepy i tajgę, falującą na wysokich wzgórzach.

Po urlopie Szaniawscy wracają do Petersburga, gdzie na niego czeka mordercza praca w kancelarii i katastrofa osobista - nie ma zdrowia na Petersburg. Nie pomogły nawet słynne europejskie uzdrowiska, dokąd pojechał razem z Lidią i na jej prośbę. W wieku 38 lat generał Alfons Szaniawski podaje się do dymisji. Z woj-

skową karierą skończono. Po zagranicznych kuracjach Szaniawscy nie mają pieniędzy, ani żadnych środków. Jadą do Syberii, żeby tam wszystko zacząć na nowo.

Alfons Szaniawski organizuje spółkę z kupcem W. Sabasznikowem i staje na czele ekspedycji - tym razem prywatnej - w tajgę nad Amur. Lidia dzielnie towarzyszy mężowi. Ekspedycja znalazła duże złoża złota nad rzeką Zeją. Pan Alfons jest współzałożycielem spółki, oprócz tego inżynierem i zarządcą. Myśli o rozkręceniu interesu. Z udziałem Lidii tłumaczy z angielskiego na rosyjski dwie książki „Poszukiwanie złota” Andersena i „Złoto” Locka, które stają się podręcznikami poszukiwaczy złota i przemysłowców w Rosji.

Na początku lat 80 Szaniawscy kupują dom w Moskwie - z myślą o spokojnych latach wypoczynku, być może. Dom jednak częściej stoi pustką, jest używany dla postojów z Syberii do Petersburga i z powrotem. Na razie o wypoczynku Szaniawscy mogą tylko marzyć. Pan Alfons osobiście zarządza kopalniami złota i fabrykami spółki, przebywa raczej w Błagowieszczeńsku i Irkucku.

Spółka Szaniawskiego łoży też na rozwój kultury i oświaty na oswojonych syberyjskich ziemiach. Za 30 tys. rubli powstaje gimnazjum w Błagowieszczeńsku. Tysiąc rubli i tysiąc morgów ziemi otrzymuje szkoła rolnicza na Zabajkale.

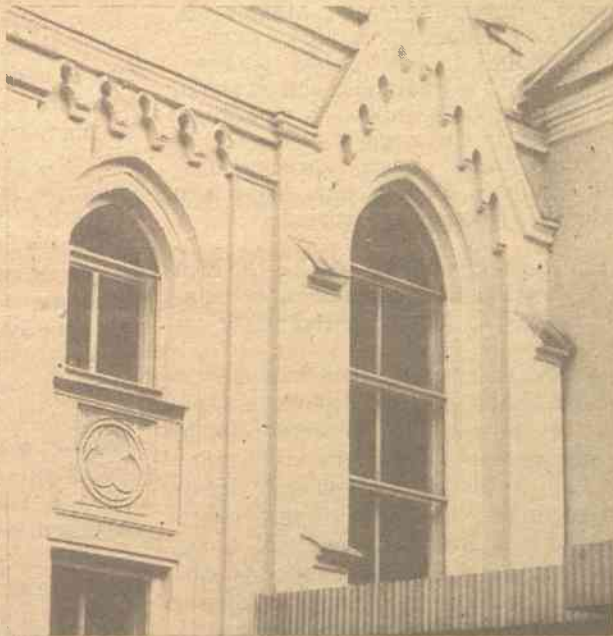
W 1881 roku ustępuje ze stanowiska ministra Milutin. W 1882 roku jego następcą zamienia kursy medyczne podobno z braku pieniędzy. Szaniawscy łożą masę pieniędzy własnych. Dzięki ich energii i staraniom w 1894 roku odbyły się w Petersburgu uroczystości ponownego otwarcia tej uczelni.

Pod koniec XIX wieku Szaniawski się czuje zmęczony i wycofuje z czynnej pracy w spółce. Jest poważnie chory na gruźlicę. W 1901 roku wyrok lekarzy znowu skazuje go na absolutny spokój i bezczynność - pozostaje mu kilka miesięcy życia, wyrok znowu jest nieubłagany, ale Lidia potrafiła taką opieką otoczyć małżonka, że przeżył jeszcze 4 lata, i to dość czynnie uczestnicząc w życiu społecznym, mimo że prawie nie wychodził już z domu - Lidia została jego łączniczką ze światem.

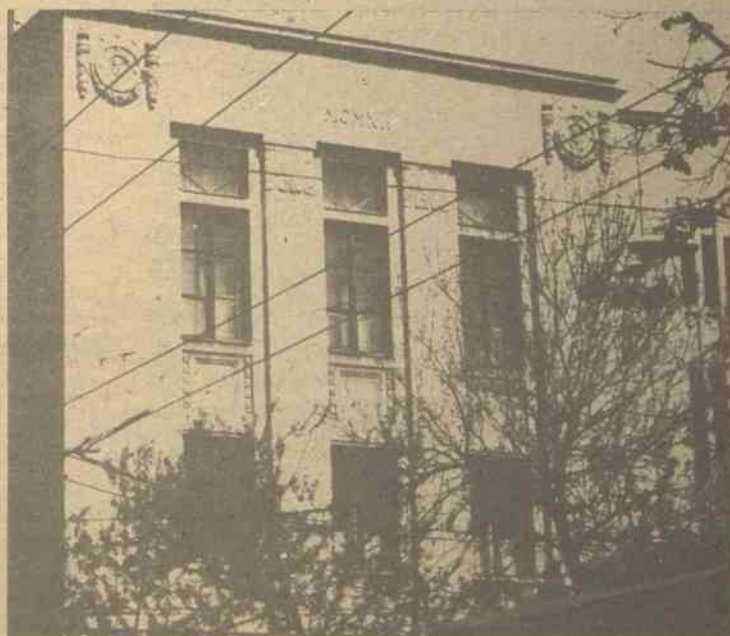
Porażka Rosji w wojnie z Japonią przypominała mu lata jego młodości, kiedy porażka krymska wykazała, jak bardzo potrzebne jest dobre wykształcenie. Wolny Uniwersytet - tak Szaniawski nazywa swój projekt, biorąc za wzór nowoczesnej uczelni koledż profesora Maksyma Kowalewskiego w Paryżu, którego poczynania Szaniawski już od lat uważnie obserwował. Ma to być uczelnia niezależna od ministerstwa oświaty.

Nadchodzi rok 1905, fatalny dla wielu. Szaniawski zaczyna myśleć o testamencie. Rozdaje bogate dary, co zresztą robił przez całe swoje życie jako milioner. Być może przeczuwa, że życie się kończy? 50 tysięcy rubli daje Polonii moskiewskiej na „świetlicę i bibliotekę”, jak stoi w papierach, ale za tę sumę Polonia kupuje ziemię i buduje ładną piętrową kamieniczkę

Dokończenie na s.7



Dawna siedziba moskiewskiej Polonii, obecnie - miejski komitet sportowy; gmach b. Uniwersytetu Szaniawskiego



Fot. Autor

ZNAD WII
1992. 07.19 - 08.01

3

MARIAN KAMIL DZIEWANOWSKI - ZAWIŁE I DRAMATYCZNE

- Wykładał Pan historię na uniwersytetach w Bostonie i Wisconsin, napisał szereg rozpraw, artykułów naukowych. Niektóre książki przetłumaczono na szereg języków, w tym na chiński. Odwiedził Pan z wykładami wiele krajów, a ostatnio i Litwę.

- Zostałem zaproszony przez rektora Uniwersytetu Wileńskiego, prof. Rolandasa Pavilionisa, żeby wygłosić serię wykładów na tej uczelni. Zaproszenie było po polsku z propozycją wykładów również w tym języku, ponieważ jak określił rektor - język ten w Wilnie wszyscy znają. Pomysł odwiedzenia Litwy przyszedł przypadkowo - w Milwaukee spotkałem grupę studentów z Wilna, którzy mnie do tego namówili. Przyjechałem, żeby przybliżyć historię Stanów Zjednoczonych, która tutaj jest zupełnie nieznana. W dodatku dobrym pretekstem jest 500-lecie odkrycia Ameryki przez Kolumba. Opowiadałem też, jakimi etapami USA dochodziły do demokracji i swojej obecnej pozycji. Jednym z celów podstawowych była również Pielgrzymka do Matki Boskiej Ostrobramskiej. W czasie wojny zostałem ranny w głowę i tylko milimetry zdecydowały, że jestem dziś tutaj. Postanowiłem więc przybyć przed oblicze Matki, podziękować za przeżycie i złożyć swe oddanie wojskowe u Jej stóp.

- Do wspomnień powrócimy za chwilę. Prosiłbym krótko opowiedzieć o sobie jako historyku.

- Obecnie mam 79 lat. Kiedy w wieku 65 lat przeszedłem na emeryturę na Uniwersytecie Bostońskim, zaoferowano mi katedrę historii polskiej na innym uniwersytecie stanowym - w Wisconsin. Kiedy nastąpiła ponowna emerytura powiedziałem sobie: Cóż to jest 70 lat dla młodego człowieka? Pracuję więc dalej, jeżdżę z odczytami, bywam na różnego rodzaju kongresach międzynarodowych, piszę książki i rozprawy. Wydałem po angielsku „Historię Rosji Sowieckiej”, „Historię Drugiej Wojny Światowej” („Wojna za każdą cenę”), książkę o Aleksandrze I. Teraz skończyłem swoje pamiętniki, pierwszą książkę polską dla Ossolineum pt. „Jedno życie to za mało. Wspomnienia niepoprawnego optymisty”. Zabieram się do pracy o księciu Adamie Czartoryskim. Też po polsku. Był on niegdyś kuratorem Wileńskiego Okręgu Szkolnego. W kościele św. Jana podziwiałem portret księcia. Dotychczas widziałem jego wizerunek w kopiach. Jego potomek Adam Zamoyski po linii Czartoryskich ma też w Londynie tę kopię, która w nieskończoność jest reprodukowana. Cieszę się, że mogłem zobaczyć oryginał.

- Czy pańska rodzina ma jakieś powiązania z Litwą?

- Ja się urodziłem w Żytomierzu. Dziewanowscy są rozdzieleni na trzy gałęzie. Pochodzimy z Mazowsza, spod Płocka, gdzie jest wieś Dziewanowo. Tam moi przodkowie otrzymali tytuł szlachecki za Grunwald. Jeden z Dziewanowskich, kpt. Jan Nepomucen na czele lekkokonných przejął dowództwo od Jana Hipolita Kozietulskiego przy zdobywaniu Samosierry. Tam został ranny i zmarł w 1808 roku w madryckim klasztorze Santa Maria d'Attocha, choć operował go naczelnny chirurg Wielkiej Armii Napoleona. Jednakże do połowy XVII wieku siedzieliśmy w Dziewanowie - zanim jednego z Dziewanowskich w składzie kawalerii kwarcianej nie wysłano na Kresy. Wtedy i powstała nowa linia: ukraińsko-podolsko-wołyńska.

- Gdzieś czytałem, że z tym wiąże się pewna bardzo ciekawa historia...

- W tym miejscu trzeba przypomnieć... Baśkę Wołodęjowską. Wcale nie była ona tym potulnym Kozackim, jakim opisał ją Henryk Sienkiewicz. To była raczej Herod-baba, niejednokrotna wdowa. Wołodęjowski był jej czwartym mężem. Kiedy bohater, również trylogii, wysadził się w Kamieńcu Podolskim, została po raz kolejny wdową. Na otarcie łez przybył twardy Mazur Łukasz Dziewanowski, młodszy od swej wybranki i po ślubie - jako piąty mąż autentycznej już Krystyny z Jeziorkowskich odziedziczył po niej majątek. Potem rodzina rozrosła się do pięciu czy sześciu gałęzi. Różnie dawano sobie radę. Jeden z Dziewanowskich - Adolf, na przykład dorobił się kilku folwarków, cegielni i gorzelni. Inni stanowili średnią szlachtę, jak przodkowie mojego kuzyna zamieszkałego dziś w Wilnie. Jego ojciec, Zbigniew Dziewanowski miał mały mająteczek. W rzeczywistości jednak był głównym administratorem posiadłości swojego stryja Adolfa. Myśmy się ze Zbigniewem znali jako dzieci, rozstaliśmy się 72 lata temu... Dlatego wielką niespodzianką był telefot do mnie od jego córki, która dowiedziała się, że jest taki ambasador Polski w Waszyngtonie, który się nazywa Kazimierz Dziewanowski. Napisała do niego, a ten z kolei przekazał dla niej mój adres. Po latach na mój odczyt w Wilnie zjawiła się z ojcem, z którym właśnie rozstałem się pamiętnej jesieni 1918 roku!

- Na tym jednak nie kończyły się więzi z tymi stronami?

Z emerytowanym profesorem historii, dr Marianem Kamilem Dziewanowskim rozmawia Romuald Mieczkowski



Dziewanowski w czasie audiencji u Ojca Świętego

Fot. archiwum

- Byłem polskim oficerem internowanym w Birsztanach. Zostałem ranny, odesłano mnie do szpitala wojskowego w Kownie. Tam pewnego bardzo pięknego październikowego dnia zobaczyłem przemarsz wojsk sowieckich. Z oficera internowanego w neutralnym kraju uczyniono ze mnie jeńca wojennego. Kiedy uciekłem z obozu w Birsztanach, zostałem aresztowany przez agenta ubranego po cywilnemu, prawdopodobnie pracownika NKWD i osadzony w tzw. VI Forcie w Kownie. Tam przypomniałem sobie generała Raštikisa, z którym spotkałem się w Warszawie w maju 1939 roku. Wówczas wręczył mi swój bilet wizytowy z zaproszeniem odwiedzin w Kownie. Znalazłszy się tam w więzieniu, szczęśliwie odszukałem tę wizytówkę. Przeszarcowałem ją za pewnym wynagrodzeniem przez kaprała litewskiego, który znał polski. Minęły dwa tygodnie. W pewnej chwili zostałem wezwany do komendanta więzienia, również Litwina - to jeszcze był pierwszy, „lekki” etap okupacji, Litwini wciąż administrowali, ale już pod nadzorem sowieckim. Potem posadzono mnie do samochodu i w towarzystwie porucznika litewskiego zawieziono do sztabu generalnego. Kiedy zjawiłem się u generała Raštikisa, ten wstał od biurka, usiadł na kanapie i szeptem powiedział:

- Proszę pana, ogromnie mi przykro, że spotkaliśmy się w Kownie w takich okolicznościach. Pan widzi, jestem bezbranny. Obok siedzi oficer NKWD i ja sam jestem wpół w niewoli. Dla pana mogę zrobić tylko jedną rzecz - w czasie, kiedy będziemy pana odwozić, po drodze porucznik z kierowcą pójdą sobie kupić papierosy. Szczęść Boże...

Oczywiście, wykorzystałem tę okazję i schroniłem się u przyjaciół, państwa Komarów z Rogówka. Zona pana Komara była starszą siostrą mojego kolegi szkolnego z Gimnazjum Księży Marianów na Bielanych pod Warszawą. Przez kilka tygodni ukrywałem się, potem moi przyjaciele załatwili fałszywy paszport i wizę wyjazdową. Udało mi się umknąć jednym z ostatnich szwedzkich samolotów, które leciały do Sztokholmu. Odprawę przeszedłem pomyślnie. W Sztokholmie zameldowałem się u przyjaciela mojej rodziny, pułkownika Mitkiewicza, byłego attache wojskowego Rzeczypospolitej w Kownie. Zgłosiłem się jako ochotnik do Armii Polskiej we Francji, ewakuując się również w ostatniej chwili na statku „Stefan Batory”. W ten sposób uniknąłem niewoli sowieckiej. Później byłem instruktorem w szkole Cichociemnych, redaktorem „Świtu” - edycji ukazującej się w Anglii dla Armii Krajowej. A skończyłem wojnę jako pomocnik attache wojskowego w Ambasadzie RP w Waszyngtonie.

- Od tego czasu rozpoczął się stały pobyt w Stanach Zjednoczonych. Wybrał Pan karierę naukową, zaś zainteresowania swe zwrócił ku Polsce, jak też imperium sowieckiemu.

- Zostając na stałe na amerykańskim kontynencie trzeba było szukać pracy. Miałem dwa dyplomy prawnicze, ale nie bardzo tam się nadawały - dotyczyły bowiem kodeksu napoleońskiego, a w Ameryce obowiązuje inne ustawodawstwo. Prawda, przedtem byłem też dziennikarzem, korespondentem PAT-a w Berlinie w latach 1937-1939. Jednakże moje dziennikarstwo znowu nie bardzo się nadawało ze względu na język angielski, którego nauczyłem się w czasie wojny. Tam już wtedy swe depeche dyktowało się od razu na linotypy, bez jakichś poprawek. Mogłem próbować biznesu, ale do tego trzeba się urodzić. Kiedy okazało się, że do niczego się nie

nadaje, została mi... profesura. Udałem się do Harvardu i pod czterdziestkę zrobiłem doktorat. Tematem pracy była „Genealogia Komunistycznej Partii Polskiej”. Ta książka (zresztą moja pierwsza) znajduje się w Bibliotece Uniwersyteckiej w Wilnie. Jej drugie wydanie ukazało się w 1976 roku. Początkowo pracowałem w jezuickim college w Bostonie, potem przeniósłem się do metodystów - zupełnie w ekumenicznym duchu - na Uniwersytet Bostoński, który dziś jest uczelnią zupełnie świecką. Potem było Wisconsin.

- Mieszkając w Ameryce zapewne ma Pan stałe kontakty z tamtejszą Polonią. Jak wygląda życie rodaków za oceanem, jak kształtuje się ich świadomość narodowa?

- Ludzi polskiego pochodzenia w Ameryce jest od 6 do 7 milionów. Większość z nich uważa się za rodowitych Amerykanów. Pierwszym krokiem dla emigranta jest zatarcie swego pochodzenia przez zmiany nazwiska, zerwanie ze swoim wcześniejszym środowiskiem, zapatrywanie się na „bogatszych i lepszych” od siebie. To samo czyni najczęściej drugie, a nawet trzecie pokolenie. W tym trzecim, a czasem czwartym, kiedy człowiek jest na dobrym stanowisku, znany, bezpieczny i zamożny, to może sobie pozwolić na „szukanie korzeni”. Odrodzenie Polonii i jej świadomości najmocniej jest odczuwalne na pewnym etapie. Inna rzecz, działa wiele organizacji polonijnych. Pracują jednakże tam raczej ci,

którzy po prostu nie zrobili jakiegokolwiek innej kariery, lub nie są w stanie zerwać z krajem i swą polskością. Nie byłem nigdy działaczem polonijnym, zaś kontaktów towarzyskich z rodakami mam wiele. Są one nieuniknione i na pewno wiele dają.

- W czasie pobytu na Litwie chyba miał Pan okazję spotkać się z miejscowymi Polakami, poznać ich życie.

- Raczej mało. Spodziewałem się, że w czasie moich odczytów na uniwersytecie sala będzie pełna Polaków, że otrzymam propozycje wygłoszenia odczytów właśnie dla nich. Byłem do dyspozycji przez kilka dni, jednakże nikt się nie zgłosił. Na moich wykładach w sumie było trzech czy czterech Polaków, choć zawiadaniałem niejednokrotnie o swym przybyciu i dyspozycji polskie organizacje społeczne. Bardzo mi smutno z tego powodu. Wiem, że Polacy mają wiele problemów, ale zrozumieć je można tylko tu mieszkając. Z całego serca popieram ich inicjatywy, ale do niektórych poczyniń mam uczucie mieszane, czy nawet stosunek krytyczny. Ja bym niebawem przychylił, ale proszę zrozumieć, iż na wszystkie sprawy tutaj patrzę z racjonalnego dystansu, porównuję je do innych sytuacji na świecie.

- Analizując rozwój wypadków w byłym imperium, patrząc na odrodzone państwa poprzez amerykański pryzmat, jak Pan Profesor ocenia kondycję stosunków polsko-litewskich?

- Korzenie zaślepienia, nietolerancji są bardzo głębokie. Cokolwiekby się stało, trzeba wypróbować wszystkich środków, prowadzących do porozumienia, wyeliminować łamanie praworządności i niesprawiedliwości. Przekonywać i rozmawiać. Polacy nie mają dużego wyboru - ich atutem miałyby być aktywność - poprzez udział w spotkaniach i imprezach nie tyle polskich, co ogólnych, żeby pokazać innym, że jest ich dużo. Że są też rozsądni i zgrani, że chcą czegoś się nauczyć, iż wcale nie stanowią pasywnej masy, jak czasem usiłują ich przedstawić oponenci. Największy niepokój budzi widoczny gołym okiem nacjonalizm w społeczeństwie litewskim. Jaka by była recepta na zaradzenie tej sytuacji? Trzeba po prostu pogodzić się z tym, że na Litwie są też tereny wielonarodowe, wielokulturowe i takimi powinny się utrzymać. Polacy muszą mieć swój udział w życiu społecznym, politycznym. Przez nieobecność ich pozycja się osłabia. Żaden bojkot do niczego nie doprowadzi. Alternatywą może być wojna domowa, a do tego w żaden sposób nie można dopuścić. Pozostaje droga dialogu, bo żadne spekulacje nie wykreślą historycznej i współczesnej obecności również polskiej. Po prostu nie będzie takiej siły. A jeżeli jest to sytuacja nie do zmienienia, to trzeba się do niej wzajemnie dostosować. Polakom życzę jak najszerzego udziału we wszystkich dziedzinach, wywalczenia dla siebie jak najdogodniejszej pozycji. Tego oprócz nich samych nikt nie załatwi. Co zaś dotyczy Wilna, to tak jak dziecka nie można podzielić między rodzicami, tak nie można podzielić tego nadzwyczajnego miasta, którego stawa i bogactwo tkwi i obecnie w wielonarodowości. Chce tego ktoś czy nie, ma ono również charakter polski i może służyć jako łącznik dobrych stosunków polsko-litewskich, nie zaś ich bariera.

- Dziękuję Panu Profesorowi za rozmowę.

Rozkład imperium sowieckiego a Polska

W mickiewiczowskim poemacie „Podróż do Rosji” jest sugestywna wizja pomnika Piotra Wielkiego (dłuta francuskiego rzeźbiarza Falconeta) ustawionego przez Katarzynę II w Petersburgu, nad brzegiem Newy. Mickiewicz tak słowem oddał swą wizję:

*Car Piotr wypuścił rumakowi wodze,
Od razu wskoczył aż na sam brzeg skały!
Zgadniesz, że spadnie i prysnie w kawały!
Od wieku stoi, skacze - lecz nie spada
Jako lecąca z granitu kaskada,
Gdy ścieżka mrozem nad przepaścią zwiśnie...
Lecz skoro słońce swobody zabłyśnie,
I wiatr zachodni ogrzeje te państwa
I cóż się stanie z kaskadą tyranstwa..?*

Młody Mickiewicz, jak przystało na Polaka epoki romantyzmu, grubo przeceniał siłę zachodnich wiatrów wolnościowych na rozwój wypadków w Rosji. Wpływ tych wiatrów w naszych czasach był drugorzędny, raczej pomocniczy, a nie zasadniczy. Imperium sowieckie rozpadło się nie na skutek wpływów zachodnich idei demokratycznych, ale głównie na skutek głębokich wewnętrznych sprzeczności. Sprzeczności te były przynajmniej trojaki: gospodarcze, polityczne oraz moralne. Zbudowane w imię materialistycznych przesłanek marksistowskich państwo sowieckie nie potrafiło zapewnić swym poddanym nawet minimum godziwej egzystencji materialnej. Zniszczenie własności prywatnej, upaństwowienie niemal całości gospodarczej działalności, doprowadziło do niebywałej w dziejach centralizacji zarządzania i podziału produkcji wszelkich dóbr w rękach olbrzymiej maszyny biurokratycznej. Ten coraz bardziej skorumpowany aparat okazał się katastrofalnie niewydajny. Wystąpiło to najwidoczniej w dziedzinie kolektywizowanego rolnictwa. Cóż pozytywnego można powiedzieć o państwie, które ciągle trzymając przeszło jedną czwartą swej ludności na wsi, nie potrafiło nawet swych mieszkańców wyżywić...? Tak więc materializm ideologiczny stał się w rażącej sprzeczności z materializmem praktycznym. Opiekunów, rzekomo, państwo nie mogło zaspokoić podstawowych warunków bytu swej ludności i musi teraz zebrać o pomoc tego, co nazywano *zgniłym Zachodem*.

Wtłaczając w mózgi swych poddanych dialektyczny materializm, z wojującym ateizmem na czele, system sowiecki doprowadził do duchowego wyjałowienia tych mózgów, w stopniu zastraszającym. Kwitnąca przed rewolucją bolszewicką i zaraz po niej, literatura i sztuka rosyjska stała się wkrótce pośmiewiskiem reszty świata. Nie jest przypadkiem, że czytelną pozostała tylko literatura dysydencka. Zniszczenie w *sowieckim człowieku* tradycyjnych zasad moralnych, doprowadziło do zastraszającego zdżyczenia obyczajów i niebywałego dotychczas rozpięcia przestępczości. Grozi to rozpadem podstawowych więzi społecznych, bez których trudno mówić o skutecznej reformie, tak gospodarczej jak i politycznej. Żywiłowe odradzanie się tradycyjnych, a do niedawna prześladowanych religii jest m.in. próbą odbudowy moralnych podstaw społecznych.

Również rosyjsko-sowiecka idea imperialna załamała się na skutek przedziwnych sprzeczności. Sprzeczności te były uderzające i różnorakie. Sowiecka struktura imperialna, zbudowana i umocniona po drugiej wojnie światowej, była tak anachronizmem, jak i paradoksem. Anachronizmem było to początku istnienia imperialnego ucisku i wyzysku, w dobie rozpadu, po drugiej wojnie światowej, innych imperiów kolonialnych: brytyjskiego, francuskiego, holenderskiego, belgijskiego oraz portugalskiego. Wszystkie te struktury opierały się na panowaniu metropolii wyżej gospodarczo i kulturalnie rozwiniętej oraz gęściej zaludnionej, nad niżej rozwiniętymi obszarami zamorskimi. W przypadku tradycyjnych systemów kolonialnych, metropolia importowała zwykle z kolonii surowce, a eksportowała ich przemysłowe przetwory. Europejskie metropolie imponowały też swym peryferiom wyższą kulturą. W przypadku imperium sowieckiego, rzadziej zaludniona, niżej gospodarczo i kulturalnie rozwinięta Rosja panowała nad gęściej zaludnionymi, wyżej kulturalnie rozwiniętymi peryferiami, dostarczając im nie tyle wyrobów przemysłowych, co właściwie podstawowych surowców, potrzebnych do ich wyboru. W przypadku Polski, Sowiety dostarczały jej około 90 proc. ropy naftowej i ogromną większość rudy żelaznej oraz bawełny, a sprowadzały maszyny, leki, kosmetyki oraz galanterię. Podobnie było z innymi krajami wasalnymi.

System taki utrzymywał się tak długo, jak długo sowiecki prestiż wojskowy i sowiecka potęga zapewniały *wiodącą pozycję* satelickim partiom komunistycznym. Cios temu prestiżowi zadały, tak gospodarcze kłopoty i upadek kultury rosyjskiej, jak i niepowodzenie wojny w Afganistanie. Wojna ta pomyślana przez sowieckich marszałków jako rodzaj *małej wyprawy kolonialnej*, trwała niemal dziesięć lat i przyniosła niemal same porażki, rzekomo niezwykłej Czerwonej Armii. W ten sposób odstąpione zostały przysłówowe gliniane nogi moskiewskiego kolosa. Zmęczenie tą wojną spowodowało niespodziewanie głęboki kryzys rosyjskiej idei imperialnej wśród sowieckiego młodego pokolenia. Kryzys ten zbiegł się z kryzysem moralnym oraz politycznym i gospodarczym, w wasalnych krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Przodowała tu, jak wiemy, Polska z jej „Solidarnością”.

Wypadki w niepokornej Polsce śledzone były pilnie w krajach sąsiednich, przede wszystkim na Węgrzech oraz w Czechosłowacji. Nie pozostały one też bez wpływu na podstawę tej części sowieckiej inteligencji, którą zwykliśmy nazywać dysydentami.

Ferment w Europie Środkowo-Wschodniej uzyskał poparcie wśród znacznej części demokratycznej opozycji w ZSRR. Wyznając demokratyczne zasady narodowego samostanowienia, opozycja ta nie mogła się sprzeciwić wolnościowym dążeniom społeczeństw, które imponowały dysydentom swą wyższą polityczną kulturą i cywilizacyjnym rozwojem. Można to wyraźnie wyczytać z wypowiedzi wydawnictw samizdatu, takich jak na przykład „Kronika Bieżących Wydarzeń”. W paryskiej „Kulturze” pisał w latach 70 Andrei Amalryk: *Wielka część inteligencji sowieckiej jest żywo zainteresowana Polską. Wielu z nich czyta i mówi po polsku, a Polska jest dla nich małym oknem na Europę. Wierzą oni, że Polacy są lepiej poinformowani, że ich czasopisma stoją na wyższym poziomie, że są bardziej interesujące, że Polacy ogłaszają wiele interesujących książek itd. Często gdy odwiedzam moich przyjaciół, widzę u nich polskie książki i czasopisma... A filmy polskie! Filmy polskie mają poważny wpływ na Rosjan. Na przykład, „Popiół i diament” Wajdy, co za wspaniały film.*

Taka postawa postępowej części sowieckiej inteligencji wobec wolnościowych dążeń w krajach wasalnych, zwłaszcza „Praskiej Wiosny” oraz „Solidarności”, zbiegła się z surową krytyką katastrofalnego napadu na Afganistan. Gdyby najazd ten skończył się szybkim i decydującym zwycięstwem Armii Czerwonej, imperialny kryzys sowiecki mógłby się rozłożyć na długie lata. Ale jak wiemy stało się inaczej. Nieskuteczność brutalnych represji sowieckich wobec mas afgańskiej ludności, wlokąca się bez widocznego końca okrutna wojna podjazdowa z dzielnicami, pomysłowymi, a często zwycięskimi oddziałami miejscowych partyzantów, rozszerzyła kryzys świadomości imperialnej na masy sowieckiej ludności. Wychowane w duchu legendy o *niezwykłej Armii Czerwonej*, nie mogły one pojąć i strawić coraz częściej przenikających wieści o porażkach i bolesnych stratach ludzkich.

Sytuacja taka mogłaby trwać jeszcze długo, bo za Breżniewa cenzura dławiała odruchy niezadowolenia. Ale w roku 1986, gdy Gorbaczow wreszcie uznał, że nie może przeprowadzić reformy sowieckiej gospodarki bez odrzucenia cenzorskiego knebla hamującego ujawnienia błędów systemu, tama pękła. Niezadowolenie mas ludności sowieckiej z beznadziejnie wlokącej się wojny w Afganistanie, stało się jednym z czynników, który dołączył do ognia narastającej krytyki całego reżimu.

Kryzys gospodarczy wywołał pierestrojką byłby do opanowania, gdyby Gorbaczow słuchał doradców, którzy sugerowali oparcie się na wzorach chińskiej reformy. Sugerowali mu oni, aby zacząć od najprostszych, podstawowych problemów, to jest od rolnictwa, od oddania ziemi chłopom, a potem dopiero, stopniowo, prywatyzować rękodzieło, drobny handel i przemysł lekki. Dopiero na ostatnim stadium reformy miał pójść ciężki przemysł, sprawa najbardziej skomplikowana. Gorbaczow rad tych nie posłuchał i reformę gospodarczą właśnie od przemysłu ciężkiego zaczął, a oddanie ziemi w ręce chłopów odrzucił jako herezję ideologiczną. To jego komunistyczne doktrynerstwo, traktowanie kotchozów i sowchozów jako przysłówiową *świętą krowę*, zemściło się na Gorbaczowie okrutnie. Żadne półśrodki nie pomogły. Czasowe odstępowanie części kotchozowej ziemi *ad hoc* stworzonym brygadom chłopskim, czy nawet całych chłopskich rodzinom, na krótki okres czasu zawiodło. Zemściło się tu też i długoletnie zaniedbanie infrastruktury wiejskiej, brak odpowiednich maszyn, transportu, składów na produkty rolne itd. Na jaw wyszła beznadziejność, czy wręcz sabotaż biurokracji sowieckiej. Gdy lato 1990 przyniosło zbiory zbóż i jarzyn przekraczające wszelkie oczekiwania, około 40 proc. tych zbiorów zgniło nie zebrane na polach, lub też zostało roztrwonione przez nieudolny transport i brak odpowiednich pomieszczeń na przechowanie.

Brak zaopatrzenia w miastach wzmógł jeszcze i tak już narzmiewającą falę niezadowolenia. Wytworzyło się błędne koło. Niedobór artykułów pierwszej potrzeby i strajki pogłębiały kryzys polityczny, a spowodowany częstymi strajkami zamęt, hamował reformę gospodarczą. Osłabienie władzy centralnej ośmieliło tendencje odśrodkowe wśród rozlokowanych przeważnie na peryferiach mniejszości narodowych. Przywódcy tych mniejszości pilnie śledzili wypadki w wasalnych krajach sowieckiego imperium. Decyzja Gorbaczowa nie użycia siły wobec ruchów wolnościowych tych krajów została uznana przez przywódców sowieckich republik związkowych za zielone światło do bardziej otwartego działania mniejszości narodowych. W awangardzie tego ruchu były, jak wiemy, kraje bałtyckie z Litwą na czele. Za przykładem Bałtów poszedł Kaukaz i Ukraina. Wreszcie nawet Białoruś, najbardziej zrusyfikowana i ospała republika związkowa, dołączyła do Ukrainy i Kaukazu. Związek Sowiecki stanął na skraju wojny domowej.

Aby zrozumieć postawę wielu przywódców tych mniejszości, którzy jak Krawczuk na Ukrainie, z komunistów szybko przekształcili się w rzeczników bojowego nacjonalizmu, należy przypomnieć sowiecką narodowościową doktrynę i praktykę. Związek Sowiecki został formalnie proklamowany w roku 1922, jako rzekomy *dobrowolny związek* niezależnych republik połączonych *braterską więzią*. Fikcję tę wymyślił przez Lenina, Stalin próbował podbudować swą chytrą *inżynierią społeczną*. Podstawą jej była kombinacja terroru, propagandy i przekupstwa. Opozycję otwartą lub nawet potencjalną likwidowaną poprzez rozstrzeliwania lub zsyłki do obozów. Tak zlikwidowano dawne, przedrewolucyjne elity. Jednocześnie Stalin tworzył nowe zespoły kierownicze, nowe elity, starannie wyselekcjonowane spośród lokalnych komsomolców. Od dzieciństwa wychowywano tych janczarów w duchu zasady, że wódz jest nieomylny w swych decyzjach, a partia wszechmocna i niezawodna w swych metodach działania. Kultura powinna być *narodowa w formie, a*

socjalistyczna w treści. Na czele lokalnych oddziałów wszechwładzowej partii komunistycznej stali zwykle, jako pierwsi sekretarze, ludzie miejscowi, wychowani już przez komunistów. Ale Stalin nigdy im całkowicie nie ufał. Stąd drugim sekretarzem w republikach związkowych był z reguły Rosjanin lub też do gruntu zrusyfikowany Ukraińiec, czy też Białorusin. To właśnie oni, na podstawie wskazówek z Moskwy, manipulowali miarionetkami, rekrutowanymi spośród nowych janczarskich elit.

Za tą fasadą *folklorowego nacjonalizmu* kryły się jednak głębsze procesy narodowotwórcze. Wielu spośród nowych przywódców narodowościowych, pomimo rygorystycznego wychowania w komunistycznych szkołach i starannej selekcji, zachowało swe związki z miejscowym społeczeństwem, z jego tradycjami, a nawet religijnymi wierzeniami. Związki te były najsilniejsze wśród komunistycznych elit Kaukazu oraz Azji Środkowej. Tam najczęściej i najsukceszniej stosowano metodę ideologicznej mimikry. System stworzony przez Stalina działał na pozór skutecznie, jak długo panował wszechobecny strach. Gdy przysłała gorbaczowska era otwartości (głasność) i strach zaczął zniknąć, większość uległych dotychczas elit komunistycznych zażęknęła za władzą rzeczywistą, a nie tylko upozorowaną. Ze zdumiewającą szybkością odrodziły się stare związki plemienne i klanowe. Wyszły też na jaw nigdy nie wygasłe powiązania mafijne, tak istotne zwłaszcza wśród ludów Kaukazu i wśród Muzułmanów środkowozajackich.

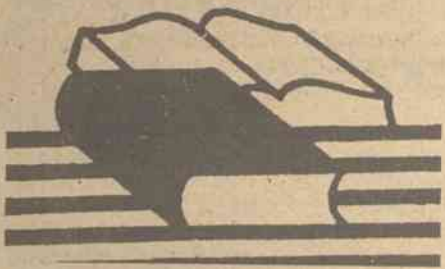
Poza buntiem przeciwko centralizmowi moskiewskiemu, ujawniły się też zadawnione spory pomiędzy rozlicznymi grupami etnicznymi. Najbardziej jaskrawym przykładem jest tu spór między chrześcijańskimi Ormianami a muzułmańskimi Ażerami o enklawę Górnego Karabachu. *Last but not least*, powstał problem wielkorusyjskiej diaspory, liczącej 25 do 26 milionów, rozsianej po całym Związku Sowieckim. I tak, na przykład, uniezależnienie się krajów bałtyckich z Litwą na czele, odcięło północno-wschodni skrawek dawnych Prus Wschodnich, z ważną bazą morską Kaliningradem (dawniej Królewcem); enklawa ta została po wojnie zasiedlona przeważnie przez kolonistów z etnicznej Rosji. Irrydynta ukraińska postawiła na porządku dziennym zagadnienie Półwyspu Krymskiego, też zamieszkałego głównie przez Wielkorusów.

Nie czas tu, ani miejsce na analizę całości problemów, wynikających z rozpadu nie tylko sowieckiego imperium, ale i podminowania samego ZSRR problemami etnicznymi. Chciałbym tu tylko zwrócić uwagę na główne zadania, jakie nowa sytuacja stawia przed polityką odrodzonego państwa polskiego. Wydaje się, że słuszną jest polityka, prowadzona przez Warszawę, uznania terytorialnego *status quo* i niekwestionowania istniejących granic, a nawiązywania, w miarę możliwości, poprawnych stosunków z nowymi sąsiadami Litwą, Białorusią i Ukrainą. Sam pochodzę z Wołynia i zdaję sobie sprawę, jak bolesne jest wyrzeczenie się takich pereł polskości, jak Lwów czy Wilno. Ale czy istnieje w obecnych warunkach realna możliwość odzyskania dla Polski naszych dawnych Kresów? Zagadnienie to było przez lata dyskutowane na łamach paryskiej „Kultury”. Wyniki tej debaty zostały chyba bezpowrotnie zaakceptowane przez większość politycznie myślącej polskiej opinii publicznej. Wydaje się, że zabiedzona, walcząca o przeżycie Polska, nie może sobie pozwolić na żadne awantury na Wschodzie, nie podważając jednocześnie swego stanu posiadania nad Odrą i Nysą i samego swego istnienia.

Odrzucając z gruntu jakąkolwiek możliwość mieszania się w głębokie przemiany, przez jakie przechodzą obecnie narody byłego Związku Sowieckiego, nie możemy z tego kompleksu wyłączyć jednego zagadnienia. Jest to sprawa ludności polskiego pochodzenia, zamieszkującej obszary dawnego Związku Sowieckiego. Jest to sprawa olbrzymia i delikatna. Ponieważ sowieckie statystyki narodowościowe były z reguły *fryzowane*, nie mamy dokładnych danych co do liczby Polaków na tych obszarach. Szacunkowo można określić, że jest ich 2 do 3 milionów. Z tej masy część chce pozostać na dotychczasowym miejscu osiedlenia, część chce powrotu do kraju ojczystego. Jasne jest, że obecna Polska nie mogłaby od razu wchłonąć tych wszystkich, którzy pragnęliby natychmiastowej repatriacji. Ale byłoby tak moralnie niesprawiedliwe, jak i politycznie błędne, odmówienie prawa powrotu tym wszystkim, którzy potrafili udowodnić, że posiadali kiedykolwiek polskie obywatelstwo. To samo winno dotyczyć ich potomstwa. Wydaje się, że reszta procesu repatriacyjnego powinna być rozłożona na dłuższy okres czasu i uzależniona od stanu odbudowy kraju.

Pozostaje sprawa traktowania przez nowych sąsiadów tych Polaków, którzy zdecydowali się na pozostanie na miejscu, zwłaszcza na Litwie, Białorusi i Ukrainie. Tu Warszawa winna trwać do stać przy zasadzie wzajemności. Polacy w tych państwach winni być traktowani nie gorzej niż Litwini, Białorusini, czy Ukraińcy w Polsce. *Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie*. Jeżeli chodzi o diaspore polską, rozsianą na pozostałych terenach byłego Związku Sowieckiego, to Polacy, tak w kraju jak i za granicą, winni im jak najdalej posuniętą pomoc humanitarną oraz kulturalną. Chodzi tu nie tylko o pieniądze, ale o książki i inne pomoce naukowe. Wszechstronna pomoc winna być moralnym obowiązkiem wszystkich Polaków.

VILNIANA



Z księstwa Piastowego i nie tylko

Owo tu historyczne księstwo Piastów to Śląsk Opolski, z jego stolicą - oczywiście - Opolem. Tam właśnie od lat wychodzi m.in. ciekawy miesięcznik społeczno-kulturalny o bezpretensjonalnej nazwie „Opole”. Rzecz zrozumiała, podejmuje tematykę regionalną zasadniczo, ale i nie tylko. Bo inaczej, dlaczego by dziś „Opole” właśnie stać by się miało moim rubrykowym „bohaterem”?

Na Opolszczyźnie obok ludności miejscowej (autochtonów) znaleźli swoją terra patria po wojnie liczni rodacy z terenów historycznego Wielkiego Księstwa Litewskiego. Że przekraczali tam nie z własnego wyboru, to wiadomo i nie trzeba tu przypominać. Niewątpliwie, ugruntowali się już w tym nowym dla nich historycznym księstwie Piastowym, o czym świadczą m.in. łamy „Opola”, wyrosły też nowe generacje inteligencji twórczej, żyją, pracują. Ale też bez wątpienia wciąż duchem tkwią w aurze, jaką emanuje ich dawna ziemia. Stąd dość często „Opole” poświęca ciekawe materiały dot. szerokiego wachlarza spraw Wileńszczyzny, Witebszczyzny, Nowogródzczyzny, Ziemi Lwowskiej itp. Są to dane nieraz niespotykane gdzie indziej w piśmiennictwie polskim, nie mówiąc tu o naszym wileńskim.

Właśnie po raz pierwszy Stanisław Nicieja zaprezentował swoje prace dot. nekropolii Łyczakowskiej we Lwowie, które potem przerosły w bardzo cenną, pionierską monografię pt. „Cmentarz Łyczakowski we Lwowie” oraz „Cmentarz Obrońców Lwowa” (w swoim czasie o obu pozycjach pisałam we Lwovianach na tym miejscu).

Na łamy „Opola”, jeżeli jeszcze o Lwowie, trafiły dzieje Uniwersytetu Jana Kazimierza, a wracając już do Wilna - sylwetka uczonego związanego blisko z Wilnem i tu spoczywającym Joachima Lelewela. Autorem tych większych artykułów był piszący z Wilna Jan Ciechanowicz.

Zawsze godne uwagi są eseje pióra wykładowcy Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu Adama Wiercińskiego, m.in. niejednokrotnie autora też publikacji naszego dwutygodnika. Pisane zawsze z nostalgią, z głębią serdeczną do ziem historycznych WKŁ, skąd własne korzenie. Zresztą cokolwiek pisze, bądź to recenzje, czy daje żartobliwe literackie portrety „głów opolskich”, czy właśnie eseje o minionych dziejach i postaciach, to zawsze jest to dyktowane zainteresowaniami dla stron naszych w ich szerokim znaczeniu.

Znajdujemy tu też ślad obecności ródowego wilniuka Zbigniewa Żakiewicza, znalazły się tu m.in. fragmenty dobrze znanej powieści autobiograficznej „Wilcze łaki”.

Często i też ciekawie tematykę wileńską podejmuje inne polskie pismo, wychodzące stosunkowo niedawno, bo dopiero od 1990 roku, np. „Kresy Literackie”. Wydaje je Miejski Ośrodek Kultury w Chełmie. Jak sama nazwa świadczy, obejmuje ono zasadniczo sprawy literatury. Stąd często gęsto pojawiają się na jego stronach wiersze lub recenzje dot. naszych twórców. Trafiły więc pod pióro krytyka tomiki A. Rybalko, M. Łotockiej, H. Mażula, S. Worotyńskiego. Niektórzy z wileńskich poetów mieli swoje prezentacje autorskie, natomiast H. Mażul i L. Komaiszko (niedawno zamieściliśmy tej ostatniej naszą stroniczkę literacką) zostali kolejno rok po roku laureatami określonej nagrody literackiej Chełmu.

To, co napisałam tu ku poinformowaniu mego Czytelnika, to zbyt mało. Najważniejsze by było, gdybyśmy (przynajmniej ciekawiący się tymi sprawami) mogli otrzymywać te pisma. Może poczekajmy lepszych czasów.

(D.)

„Opole”, miesięcznik, wydawca „Opolpress - Spółka z o.o.

„Kresy Literackie”, kwartalnik, MOK, Chełm



Czas sadzenia

Lato upalne się udało: grunt spieczony na popiół, ziemniaki zwiędły na pęta - nogi się płaczą w naci, stare jabłonie liść osypują, jakby już jesień była.

Ale Marcin nie żałował, że się na wieś udał. Dokumenty potrzebne zebrał, ojcowiznę odzyskał, chatę wyrychtował, sprzęt potrzebny od zera gromadził, drepcze po znajomych od dziecka zagonach, krzewy usuwa, dawny widok przywraca. Ale tego dębu wciąż brakuje.

Dziesięciolecie życia miejskiego niejednemu nauczyły zajęcia. Przyda się na dłuższe wieczory w innej porze roku. A pogoda - nie wieczność - za rok przychylniejsza może będzie. Coś niecoś już w tym czasie nagromadzi, nawyk do roli wróci, bardziej się umocni. A te pierwsze miesiące, co zrobić, niech już będą na straty, na rozkręcenie się,

MYŚLI NASZYCH CZYTELNIKÓW

Gdy gorąco się modlimy, mówiąc - bądź wola Twoja, to przede wszystkim mamy na myśli oby spełniła się nasza...

Nie pożądamy żony bliźniego swego. Ale cóż mamy czynić, gdy cudza żona pożąda kogoś z nas?

W niedawnym raju komunistycznym byliśmy odziani i obuci, a zakazany owocem był kapitalizm. Gdy ten przyszedł, nagle staliśmy się nadszy i bosi.

Henryk Siemak
Wilno

Od nowa

POLICJANCY

Był to temat do niedawna *tabu*, gdyż na straży bezpieczeństwa swych obywateli stała sowiecka skorumpowana milicja. Kiedy odzyskaliśmy w niepodległym kraju i policję - najwyższy czas zadać pytanie: czy zaczęliśmy żyć bezpieczniej?

Liczne wskaźniki przestępstw wskazują - wręcz przeciwnie, krzywa statystyczna nieubłagalnie idzie w górę. Dziś dość wcześnie ze względu na bezpieczeństwo zamiera życie towarzyskie, nasze dzielnice przypominają więzienia ze względu na zakratowane okna i balkony, drzwi jak w sejfie. Gazety zamieszczają coraz bardziej sensacyjne reportaże o włamaniach, rabunkach z bronią w ręku, okrutnych gwałtach. Niestety, bardzo rzadko czytamy o złapaniu i wsadzeniu przestępców za kratki.

Tymczasem słyszy się o wielkiej międzynarodowej współpracy naszej policji, o udziale wysokich urzędników w ważnych naradach, o wystawach nowoczesnego sprzętu policyjnego. Podobno po takich wystawach zawsze czegoś zabraknie. Gdzie są policjanci, gdzie ci mężczyźni?

Dane mówią, że nie jest ich mniej, a nawet znacznie więcej niż przed laty. Również zarobki znacznie przekraczają średnią statystyczną. Dlaczego więc telefon o kolejnym włamaniu przyjmuje się z ociąganiem, znudzeniem? Tymczasem komisariaty nie mogą pomieścić teczek z nierozsupłanymi sprawami, a nowe wciąż przybywają. Czasem kogoś się złapie, raczej spośród niedoświadczonych młola-

tów, ewentualnie sami pokrzywdzeni uporać się z przestępcą i przekazać go do rąk praworządności. Może w związku z nieporadnością policji notuje się bardzo niebezpieczne ostatnio zjawisko wymierzania samosądów - podobno łączy się to z brakiem zaufania, że złodziej zostanie ukarany, tym bardziej, że w tym wypadku *nie udało się* mu popełnić przestępstwa. Złapany może przecież twierdzić, że spacerował po cudzym balkonie na 12 piętrze, czy na przykład, chciał wypocząć przy muzyce w cudzym samochodzie...

Nie wiem, czy warto poruszać kwestię nagminnego oszukiwania w handlu, sprzedaży kradzionego towaru, wadliwych wyrobów, z brakiem wielu części, przeterminowanych produktów i szkodliwych dla zdrowia. Wszystko to ma wspólny mianownik - *wolny rynek*. Dlatego, z oszukanego raczej się wszyscy śmieją, zaś bazarzy raczej nie są miejscem dla policjanta. A jeśli już, to ich spacer są jak najbardziej niewinne. No, można napić się kawy czy czegoś ochłodzonego w stoisku przybazarowym, niekiedy przy jednym stoliku ze stałymi bywalcami placów handlowych o nieznanym zawodzie. Zupelnie jak w Ameryce. Tylko tam człowiek z marginesu czuje respekt przed przedstawicielem władzy z gwiazdą szeryfa. Tymczasem dosłownie obok kradnie się w biały dzień, szantażuje się sprzedawców i pobiera *myto* czy raczej coś w rodzaju haraczu.

Tu można powiedzieć: boisz się - nie chodź na bazar. Ale co zrobić z tymi, którzy przez włamanie rozpasanych drani tracą dobytek życia? Słowa policjanta *po cóż*

kupował tak drogą rzecz raczej nie pocieszą. Dziś przy braku garaży (choć i stamtąd kradną) nie w sposób uchować od złodzieja samochodu. Jest pewna rada: jeździć na rozklekotanych wrakach, na które nikt by nie zwrócił uwagi. Ale przecież i takie wozy się kradną - na części! Dlatego też niejedyn pojazd rano pozostaje bez kół.

Samochód to jest jednak rzecz. A taki rower? I po co ci ludzie w ogóle zawierają głowę policji kradzieżą takich błahostek? To tylko kosztuje tyle co półtora, dwie pensje miesięczne. Po kradzieży u syna dwóch składaków ociągaliśmy się z kupnem trzeciego, jak tylko mogliśmy. Ale za dobrą naukę z wielkim trudem udało się nabyć rower. Radość chłopca nie miała granic, pilnował go jak żrenicę oka, ale krótko. Na drugi dzień w ciągu 30 sekund został skradziony spod mieszkania, zanim otworzył drzwi. Chłopiec wpadł w stres. Dyżurny policjant w komisariacie w dzielnicy Szeszkiniai długo odmawiał celowości takich poszukiwań, wskazywał na nawał pracy i ilość nie rozwiązanych spraw. W zadymionym pokoju rozmowę utrudniała konsumpcja słonecznika przez przedstawiciela władzy i spluwanie ich łusek do przepelnionej popielniczki. Wyszło się stąd z pewnością, że nawet nikt palcem nie ruszy, żeby zrobić coś w tej sprawie. A przecież wystarczyłoby takiemu dzielnicowemu porozmawiać z młodymi mieszkańcami bloku, ewentualnie sąsiedniego domu - złodziej nie mógł być z daleka.

Nie dziwne, że taka praca policji sprzyja po prostu złodziejstwu. Nietrud-

no też określić, co wyrośnie z młodego człowieka, który u sąsiada kradnie bezkarnie rzecz. Można się dziwić i rodzicom, że nie interesuje ich pochodzenie nowej rzeczy. Zresztą niedługo będzie ona w domu - już nazajutrz w ramach *wolnego rynku* zostanie sprzedana na bazarze, czy nawet w komisie. Był po wojnie taki neoromantyczny włoski film „Złodzieje rowerów”, ale tamtym ludziom chodziło zgoła o co innego.

To kryzys wytwarza chwasty okresu przejściowego - powie niejedyn stróż porządku. Zgoda, ale mundur do czegoś zobowiązuje. Gdzie indziej nie do pomyślenia, żeby policja udawała, że nie widzi przestępstwa, odradzała we wszczęciu sprawy karnej. Nawet jeśli zostanie skradziony guzik.

W jednym z nocnych trolejbusów grupka podpitych młodzieniaszków urąga kobiecie. Próby ingerencji obronnej pasażerów nie dają. Wszyscy oczy skierowane są na policjanta, który uważnie studiuje gazetę. Wreszcie policjant wstaje... i wysiada! Z zamknięciem drzwi rozlega się rechot chuliganów. Ten banalny przykład jest niejako odpowiedzią, dlaczego dochodzi do wybryków, dlaczego kradnie się, a krzywa pędzi w górę.

Już czuję, jak panowie w mundurach wołają: *Jak tak można! Prosimy wskazać miejsce, godzinę, nazwiska, świadków!*

Proszę szanownych policjantów, gdybyśmy zaczęli zgłaszać konkrety dotyczące podobnych przypadków, na pewno policji na ulicach w ogóle nie byłoby, wszyscy byliby zajęci rozpatrywaniem skarg. Zastanówcie się sami nad tym. Nie muszę tłumaczyć, że w waszej pracy nie ma błahych spraw. Wszystkim nam chodzi o stworzenie nieprzejednanego stosunku do przestępstwa, o bezpieczeństwo w naszych domach i na ulicy, żeby mundur był symbolem praworządności, odwagi i operatywnego działania.

Tomasz Bończa

To, co było...

8. Wspomnienia z Wilna sprzed pierwszej wojny światowej

Zofia Dembowska - Römer

Naprzeciwko frontonu Katedry zaczynała się najwspanialsza ulica wileńska, która się wtedy, przed wojną, nazywała Prospekt Sto-Jerski. To była wileńska linia A-B, Aleje... i tak jak w Krakowie „nie wypadło” młodemu panienkom spacerować po prospekcie, tylko należało, o ile koniecznie droga tamtędy wypadła, przejść prędko, jak się idzie za pilną sprawą. Po wojnie - „za Polski”; prospekt nazywał się ulicą Mickiewicza, ale sztubacy nazywali ją zawsze „Jerkiem”. Na rogu prospektu i placu była kamienica Burhardtów. Poza Jańcią - to moja najdawniejsza przyjaźń. Burhardtowie mieli folwark pod Kiejdanami, a dla kształcenia licznej gromady dzieci, przenieśli się do miasta. Starzy B. za posag żony-wybudował kamienicę, a że był strasznie skąpy - zamieszkali sami na 4 piętrze, na poddaszu. Burhardt w kącie stołowego pokoju miał warsztat szewski i wyrabiał buciki dla wszystkich ośmiorga dzieci ku rozpacz chłopców, którzy się wstydzili w tych ojcowskich ciżemkach chodzić do gimnazjum.

Naprawdę perłą tej gromady była Janka Burhardtówna, o kilka lat starsza ode mnie. Biedna dziewczyna była garbata i przez to niewyrośnięta (przez winę rodziców, którzy „pożalowali” potrzymać ją w gipsowym korytku, według rady Tatusia), i może - jak przeważnie osoby ułomne, byłaby zgryźliwa, w pretensji do całego świata - gdyby nie cudny, bohaterski charakter dziewczyny, która właśnie postanowiła być dobrym duchem całego domu. Zamknęła w sobie - nie bez walki wewnętrznej, wszelkie porwy kobiecego serca i - kochała cały świat. Była powiernicą swoich przyjaciół, ponieważ wszyscy przychodzili do niej ze swoimi troskami, a ona z nadzwyczajną intuicją potrafiła zawsze przyjść im z dobrą radą. Pod wpływem

ówczesnych haseł, książek Orzeszkowej, Rodziewiczówny, postanowiła zbliżyć się do ludu i pierwsza z polskiego ziemiaństwa zaczęła uczyć się po litewsku. Pamiętam, jak będąc u nich w Podgaju prowadziła mnie do sąsiedniej wioski, Kotki, gdzie miała swoich przyjaciół, Litwinów (Stanionis). Ci sami zresztą, którzy donosili przeciwko niej w 20 roku, za co siedziała w więzieniu w Kownie. Janka była zdolna do malarstwa. Jako dzieci zarysowywałyśmy całe arkusze papieru różnymi historiami, ilustrując wytwory naszej bujnej wyobraźni (historie z życia myszy). Później próbowała malować - trochę pod moim wpływem robiła pastelowe widoczki z wielkim pocuciem koloru. Zawsze jednak miały jej rysunki i obrazki podkład ideowy - coś z jej ducha, z jej ukochania, z jej patriotyzmu. Do wojny żyła Janka tradycją powstania - opowiadała babci Wielickowej z Poszumierza, która była zesłana do Syberii i po 10 latach wróciła do majątku, gdzie służba czuwała nad dobytkiem (co za czasy!); potem to przeszło w kult i przyjaźń dla J. Piłsudskiego. Nie mogę darować Zabieliom, którzy w przystępie tchórzostwa zniszczyli pamiątkę Janki, oddany im do przechowania przez matkę (ale może teraz i tak by się nie zachował!). Janka miała Krzyż Walecznych i była pochowana z honorami wojskowymi na Roscie.

Po wojnie stara pani Burhardtowa przeniosła się do drugiego ich domu i miała balkon od strony Mickiewicza. Z tym balkonem związane są o wiele późniejsze wspomnienia, jak „starsze” dzieci były w Wilnie w szkołach i chodziły z procesją Bożego Ciała, niosąc sztandary swoich szkół. Red niósł sztandar Gimnazjum Zygmunta Augusta, Zosieńka - Nazaretanek, a Geniusia - Benedyktynek. A

ja patrzyłam na nich z tego balkonu, mając w oczach łzy radości i modliłam się za nich, żeby im wszelkie błogosławieństwo wyprosili...

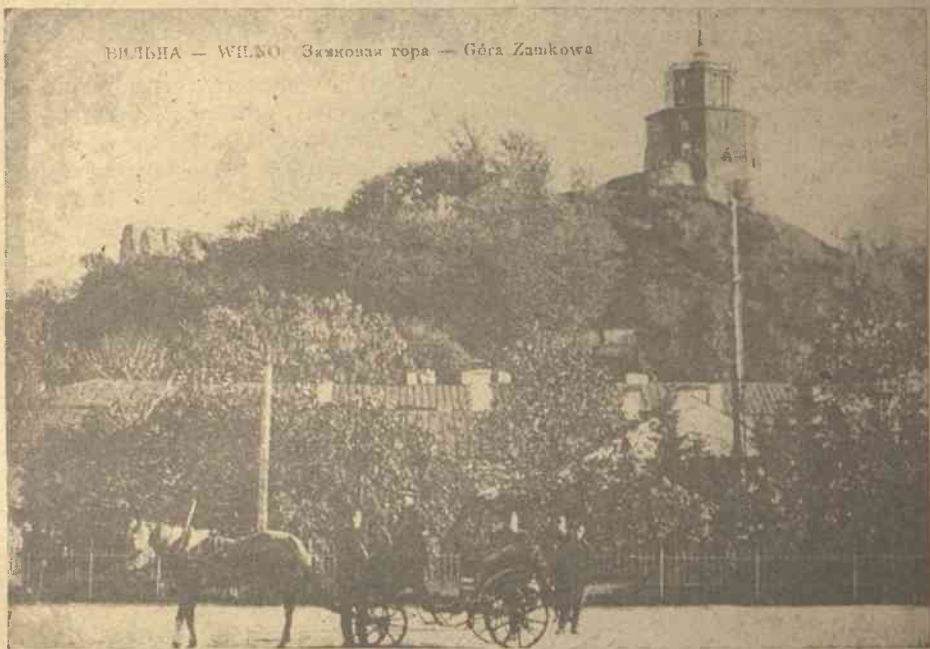
Ale wróćmy jeszcze do dawnych czasów. Idziemy z prospektu na lewo, wąską, krętą uliczką Garbarską. Tam, w małym domku, na piętrze, mieszkała przez długie lata z matką starszą, naszą nauczycielką, p. Zofia Paszkowska, która nas, tj. Zosię Szostakowską i mnie, uczyła przez 5 lat. Zosia Paszkowska miała wielki wpływ na mój rozwój umysłowy. Młoda, entuzjastka, umysł żywy, idąca ciągle z prądem - umiała w nas rozbudzić zamiłowanie do historii; a szczególnie do literatury polskiej - nauczyła rozróżniać rzeczy wielkie od śmieci, dla których była bezwzględna. Nawet w malarstwie miała swoje wyraźne upodobania, które umiała tak sugestywnie zaszczerpić, że na długie lata zostały mi w tej dziedzinie jej sądy, które przyjąłam jako swoje. Paszkowska lubiła Malczewskiego „Śmierć” - miała reprodukcję tego na ścianie. Lubiała taki obraz Danta na tle Campanilli i te rzeczy ja zawsze lubiłam - nie wiem, czy same przez się, czy właśnie dlatego, że łączą się z pamięcią Zosi Paszkosi.

Jakże lubiłam już jako dorosła panna przychodzić na Garbarską wieczorem i zostać na herbacie - jakie tam zawsze ciekawe rozmowy bywały. Paszkosia w ówczesnym pojęciu była „postępowa”. Zachwycała się „Chimerą”, Żuławskim, Przybyszewskim, Kasprończem, Żeromskim i z dobrotliwą wyrozumiałością traktowała pisarzy drugiej połowy XIX wieku - „myszką trącą”, i dlatego nie znalazłam w ogóle Korzeniowskiego, Kaczkowskiego, a nawet Kraszewskiego, dopiero przeczytałam w Cytowianach, raczej Genio czytałam głośno w długie zimowe wieczory 40-41 roku, kiedy nie było innej lektury, a my z Zosieńką robiliśmy ciepłoci na drutach.

Pamiętam, jak Paszkosia wyklócała się z Tatusiem, który był pod wpływem Nordana „La degenerescence” i broniła zawzięcie Verlaine’a przed napaścią „tego Żyda”.

Do ostatnich lat, będąc w Wilnie odwiedzałam p. Paszkowską. I - to dziwne, mam wobec niej zawsze to samo uczucie, jakie miałam w dzieciństwie - uczucie wdzięczności i uwielbienia.

(Cdn.)



Na starej fotografii: Góra Zamkowa

POLACY W ROSJI. WOLNY UNIwersYTET GENERAŁA ALFONSA SZANIAWSKIEGO

Dokończenie ze s. 3

W Miłutinskim zaułku, gdzie się rozmieścili ponadto sala na spotkania, i polski teatr amatorski, i różne kółka.

Nie zapomina Szaniawski i o wolnym uniwersytecie. Z Paryża przyjeżdża zaproszony do współpracy profesor Kowalewski. W sierpniu 1905 roku w domu Szaniawskich na Arbacie odbyło się zebranie, w którym uczestniczyli m.in. prawnik i historyk, profesor Maksym Kowalewski, słynny neuropatolog i członek Dumy, profesor Włodzimierz Rot, filozof i literat, profesor i rektor Moskiewskiego Uniwersytetu, książę Sergiusz Trubieckoj. Opracowano projekt przyszłego Miejskiego Ludowego Uniwersytetu (zaproponowana i używana przez Szaniawskiego nazwa „Wolny Uniwersytet” wydała się zbyt niebezpieczna, nieomal „rewolucyjną”) i utworzono prywatny fundusz, składający się z dobrowolnych darów na rzecz przyszłego uniwersytetu.

15 września 1905 roku Alfons Szaniawski składa do Dumy moskiewskiej projekt przyszłego Uniwersytetu, prosząc przyjąć w darze jego majątek, a po śmierci żony również dom i ziemię. 20 września 1905 roku specjalnie powołana komisja Dumy moskiewskiej pod przewodnictwem profesora Rota oficjalnie przyjmuje dar i powołuje inną komisję do opracowania zgodnie z wolą ofiarodawcy Statutu i struktury Ludowego Uniwersytetu.

Zamieszki, które wybuchły w październiku 1905 roku utrudniły i bez tego niespieszną pracę komisji. Alfons Szaniawski, zniecierpliwiony ciągłymi zwłokami, stawia w testamentie dodatkowy warunek: jeśli Ludowy Uniwersytet nie zacznie funkcjonować w ciągu 3 lat (a więc do 3 października 1908 roku), legat przejmie Żeński Instytut Medyczny w Petersburgu. Ostatnie dni swojego życia spędza na rozmowach

z tymi, komu powierza wykonanie swojej woli. 3 listopada 1905 roku ze względu na stan zdrowia Szaniawskiego naczelnik miasta przed upływem dwutygodniowego terminu podpisał akt przyjęcia daru i powołania komisji. 7 listopada 1905 roku Alfons Szaniawski zaprasza prawnika i podpisuje testament na rzecz Uniwersytetu Ludowego, niebawem po podpisaniu dostaje ataku i wieczorem umiera.

Testament, który podpisał, dar Szaniawskiego przez władze miasta przyjęty. Na czele Rady Opiekunów staje energiczny i zaradny profesor Włodzimierz Rot, Maksym Kowalewski, zaproszony na przewodniczącego Rady, już objął katedrę na uniwersytecie w Petersburgu.

Do funduszu Uniwersytetu wpływają dalsze dary od osób prywatnych, 50 tysięcy rubli daje pani Morozowa. Ale projekt przyszłego uniwersytetu leży dłużej w gabinecie naczelnika i generała-gubernatora Moskwy, potem wędruje do Petersburga. Najwięcej wątpliwości wzbudzają punkty projektu, gdzie się mówi, że lekcje mogą być prowadzone nie tylko w oficjalnym rosyjskim, ale w innych językach, i że rektor Ludowego Uniwersytetu nie będzie podlegał ministerstwu oświaty. Po zgodzie ministra oświaty projekt studiuje Państwowa Duma i w końcu zwraca do ministerstwa oświaty jako popieszczenie zatwierdzone. Dalej historię uniwersytetu się czyta jak powieść sensacyjną.

25 stycznia 1907 Państwowa Duma jest gotowa rozpatrzyć projekt, ale nowy już minister oświaty odmawia podpisu i zabiera projekt na ponowne czytanie. Dopiero 1 kwietnia Duma Państwowa zaznajomiła się z projektem i wysłała go do Moskwy na zatwierdzenie poprawek przez moskiewską Dumę. Ta broni go przed zabójczymi poprawkami ministra. Dowolny język wykładów i niezależność od ministerstwa

oświaty - to były główne zasady uniwersytetu, o którym myślał Szaniawski, i właśnie te punkty zostały przez ministra oświaty wykreślone. Prasa też nie zostaje obojętna na tę sprzeczkę Moskwy z ministrem oświaty, w gazetach się pletnie przyszły uniwersytet jako „gniazdo polskiej herezji w sercu Rosji Moskiewie”, „ostoję partii konstytucyjnych demokratów” i wręcz „żydowski uniwersytet”. Nie brak takich słów i na posiedzeniu Państwowej Dumy, rozpatrując projekt uniwersytetu 3 czerwca 1908 roku. „Zniszczymy Rosję, sankcjonując powstanie takiego uniwersytetu!” - woła Puryshkiewicz, zwracając się do posłów. Duma jednak uchwaliła powstanie Uniwersytetu.

Zatwierdziła Rada Państwowa, a po niej imperator Rosji. Niby formalności były załatwione, ale minister oświaty jeszcze do września zwlekał z zatwierdzeniem Rady Opiekunów Uniwersytetu.

W końcu, 1 października 1908 roku, dzięki staraniom profesora Rota, Rady Opiekunów i Lidii Szaniawskiej w gmachu Dumy moskiewskiej odbyła się uroczystość otwarcia Uniwersytetu.

W pierwszym roku na uniwersytecie (nie mającym stałego jeszcze pomieszczenia) studiowało 400 studentów i pracowało 11 profesorów. Lekcje się odbywały wieczorami w salach rekreacyjnych jednej ze szkół. W następnym roku wynajęto pałac Golichynów na ulicy Wołchanka i Żeńską uczelnię na placu Myuskim, rozpoczynając budowę własnej siedziby na tymże placu, która w 1912 roku została ukończona - piękny budynek w neoklasycznym stylu. Praca się rozkręcała. Coraz więcej było studentów, i wolnych słuchaczy. Oprócz akademickich wykładów prawa, filozofii, nauk ścisłych i przyrodniczych przy Uniwersytecie dzia-

ły kursy kooperacyjne i zawodowe, pozwalające młodzieży prędko i za skromną opłatę zdobyć niezbędną fachową wiedzę, a i wręcz kursy średniej szkoły, gdzie każdy chętny mógł w dowolnym wieku ukończyć szkołę, zdać maturę i studiować dalej na tejże samej uczelni - niekoniecznie dla uzyskania papierów, świadczących o wykształceniu - można było nie tylko wybierać kierunek studiów, ale układać indywidualnie program nauki. Uniwersytet imienia Szaniawskiego był niezwykłą uczelnią, zdawało się, że czeka nań świetna przyszłość...

Wszystko się skończyło w 1918 roku. Uniwersytet zamknięto, jego profesorowie podzieliли los rosyjskiej inteligencji...

Dziś mało kto pamięta o Wolnym Uniwersytecie, jeszcze mniej wie o jego założycielu, generale Alfonsie Szaniawskim. Pozostał tylko zapuszczony budynek z rzymską liczbą MCMXII założenia na fasadzie. Znajduje się tu redakcja czasopisma „Kobieta Radziecka”, o czym głosi napis w kilku językach na czerwonej tablicy przy zaboconych i, zdaje się, zamkniętych od dawna drzwiach. Przed budynkiem na ulicy - puste trolejbusy, cały plac Myuski jest nimi zastawiony. Wszystko razem stwarza widokowość ruiny.

Dzień dzisiejszy jest smutny, trudno się radować po tylu latach mordów i zbrodni. Trudno odbudowywać na nowo ruiny. Uniwersytetu Szaniawskiego w Moskwie nie ma i chyba już nie będzie. Ale na sąsiedniej ulicy obok białego wolnego Uniwersytetu rozmieściła się nowa niezależna uczelnia, zorganizowana parę lat temu - Rosyjski Humanitarny Uniwersytet - która ma zamiar z biegiem czasu się wprowadzić i do opuszczonego budynku. Cóż, znowu zaczynamy tu w Rosji rozumieć, jak bardzo potrzebne są dobre wykształcenie i kultura...

Grażyna Tatiana Szyszowa

„Znad Wilii” - niezależny społeczno-kulturalny dwutygodnik • ADRES REDAKCJI: 2001 Wilno, ul. Išganytojo 2/4, telefon: 22 42 45, fax 22 34 55
REDAKCJA: Aleksander Borowik, Wanda Marcinkiewicz-Mieczkowska, Romuald Mieczkowski (redaktor naczelny), Czesław Okieńczy, Danuta Piotrowiczowa, Wojciech Piotrowicz • CENTRUM TECHNICZNE: Irena Dejnarowicz, Zdzisław Gorbaczewski (kierownik), Renata Skrobot
Henryka Uczkuronis (korekta) • SEKRETARIAT: Irena Wojciechowska • Wydawca: ZNAD WILII S.A. prezes Zdzisław Tryk
Skład komputerowy własny • Druk offsetowy, 2 arkusze druk. Drukarnia Litewskiego Przedsiębiorstwa Wydawniczego „Spauda” • Indeks 67248
KONTO: 1467292 Komerčnis Bankas „Vilniaus Bankas”, kod 260101541

Podpisano do druku 17 lipca 1992. XL- 160
cena 3 rb.

ZNAD WILII
1992. 07.19 - 08.01

7

Wszystko, co robię, jest mi jednakowo bliskie



**Ze Zbigniewem Maciejewskim rozmawia
Wanda Marcinkiewicz**

- Czytelników zazwyczaj interesuje wiek poety, jego droga twórcza...

- Urodziłem się w 1960 roku w rodzinie polskiej. Jestem absolwentem wydziału chemii (kierunek biochemia) Uniwersytetu Wileńskiego. Pracowałem jako tłumacz, następnie dziennikarz w „Czerwonym Sztandarze” (obecnie „Kurier Wileński”), ostatnio pracuję jako nauczyciel w Wileńskiej Szkole Średniej im. W. Syrokomli. Zawsze były mi bliskie wiersze i teatr.

- W tym miejscu trzeba przypomnieć o dyplomie Wileńskiej Szkoły Kultury w dziedzinie reżyserii. Zapewne wiele też dał dwuletni podyplomowy staż w Pań-

stwowej Wyższej Szkole Teatralnej (PWST) w Warszawie, na Wydziale Reżyserii.

- Właśnie zainteresowania teatrem początkowo zaprowadziły mnie do wspomnianej szkoły wileńskiej. Już od 16 roku życia uczęszczałem do Polskiego Zespołu Dramatycznego przy Klubie Medyków, którym kierowała wtedy nieodżałowana Pani Doktor Janina Strużanowska. Po jej śmierci zostałem wybrany na kierownika zespołu. Już wtedy próbowałem zgłębić swą wiedzę, jednakże nie udało się mi dostać na wydział reżyserii telewizyjnej w Konserwatorium Wileńskim. Moje marzenia spełniły się później w Warszawie. Podsumowaniem tego stażu było wyreżyserowanie w lipcu 1991 r. w Białostockim Teatrze Dramatycznym im. A. Węgierki śpiewogry pt. „Ot, facecija”. Scenariusz oparty na podstawie przedwojennego repertuaru nagrań radiowych słynnej „Kaskady” napisałem sam. Sztuka cieszyła się powodzeniem, recenzje w prasie były dobre.

- Jednakże teraz nie pracujesz w teatrze. Dlaczego?

- Jest to temat na dłuższą rozmowę. Na studia reżyserskie jechałem do Polski w nadziei, iż polski teatr zawodowy w Wilnie jest w niedalekiej perspektywie - jak niektórzy patriotycznie piszą w „Reducie”, utożsamiając nazwę teatru Osterwy z gmachem teatru na Pohulance. W czasie

pobytu w Warszawie otworzyły mi się oczy na te zapędy - teatr? Owszem, ale nie tak szybko, kochani. Ta sprawa wymaga solidnego przygotowania, inicjatyw i ludzi, pracy przygotowawczej nie na jeden rok. Dlatego na razie nie jestem zajęty w teatrze, jednakże nigdy z nim nie rozstałem się, działając w inny sposób.

- Jaki?

- W moim życiu znaczne miejsce zajmuje muzyka. Obok wierszy. W ten właśnie sposób powstaje poezja śpiewana. Wiele mych strof znalazło muzyczną formę. Zresztą muzykę tworzyłem do wierszy Edwarda Stachury, któremu poświęciłem całe przedstawienie poetycko-muzyczne, jak też do wierszy ks. Jana Twardowskiego, Czesława Miłosza, Zbigniewa Herberta. Komponowałem muzykę do wierszy Sławomira Worotyńskiego, Henryka Mażula, innych poetów wileńskich. Jedną piękną inicjatywą, która osobiście przyniosła mi wiele satysfakcji, to tegoroczny Konkurs Piosenki Poetyckiej. Zamierzam kontynuować tę bardzo potrzebną naszemu środowisku twórczemu imprezę.

- I wreszcie poezja.

- W przypadku jej śpiewanej formy powstaje wspólne dzieło - poety, moje i słuchacza, co ma szczególną wartość. Od dawna też piszę wiersze. Znaczna ich część zamknęła się w tomiku pt. „Dokąd?...” Ukazał się w 1990 roku w wydaw-

nictwie Kurii Metropolitalnej Archidiecezji Warszawskiej. Znalazło się tam 47 wierszy zilustrowanych przez rysownika wileńskiego Stanisława Widtmanna. Jak świadczy tytuł książeczki, która jest raczej notatnikiem poetyckim, staram się znaleźć odpowiedzi na wiele pytań. Poza tym próbuję wciąż znaleźć ufnosć w Bogu, poczuć się jako cząstka wszechświata.

- Prócz poezji, tęsknoty do teatru i muzyki jest jeszcze chemia w szkole i praca z dziećmi.

- Bardzo to sobie cenię. Razem z dziećmi się też uczę wielu rzeczy. Staram się nie narzucać, a być przyjacielem dla moich uczniów.

Mam też możliwości prowadzenia impresariatu artystycznego, organizując chociażby wspomniany konkurs poezji śpiewanej, jak i inne imprezy.

- Czy coś zamierzasz przedstawić na osąd widzom w najbliższym czasie?

- Jak dobrze pójdzie, to na jesieni zaproszę na koncert znanych tang i walców przedwojennych. W przygotowaniach wiele pomaga mi moja Małżonka, która ma wykształcenie muzyczne i jest bardzo zdolna.

- Czy spośród różnych kierunków swej działalności wyodrębniłbyś jakieś podstawowe?

- Nie. Wszystko, co robię, jest mi jednakowo bliskie.

- Dziękuję za rozmowę.

Oko duszy

I Spojrzenie w głąb

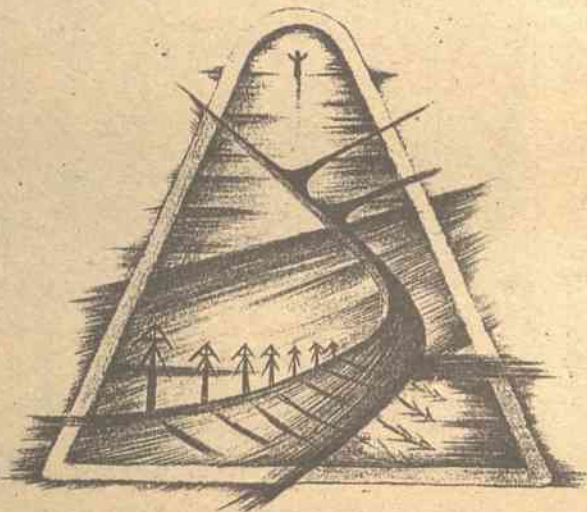
Jechałem taksówką życia.
Licznik niemiłosiernie przeliczał
przebytą drogę
na
zmarnowany czas.
Ze strachem myślałem
o sumie,
jaką będę zmuszony wyłożyć
w wypadku,
gdy szalony licznik
okaże się
nieuleczalnie chory.

II Beznadzieja

Szedłem ku słońcu.
Im bliżej miałem
do celu,
tym prędzej rósł
mój cień,
Uciekłem w mrok.
Biegłem utartym korytarzem
ufny
w swój los.
Ulicznice latarnie
oświecając
śliski miasta
bruk
figlarnie migały
do moich
stereocieni.

III Sens

Na rozstaju
dróg
przy stosie
złamanych
reflektorów
uparcie tkwił
mój kolorowy
sen.



Bajka o płótnie

Dano mi
kawał płótna -
myślano
takież utkam.
A ja -
utkałem pędzel.
Czas
malował pędząc...
A ja?
Patrzyłem na to
i wciąż pytałem:
„Ojcie,
skąd się biorą
marzenia?”

kamikaze

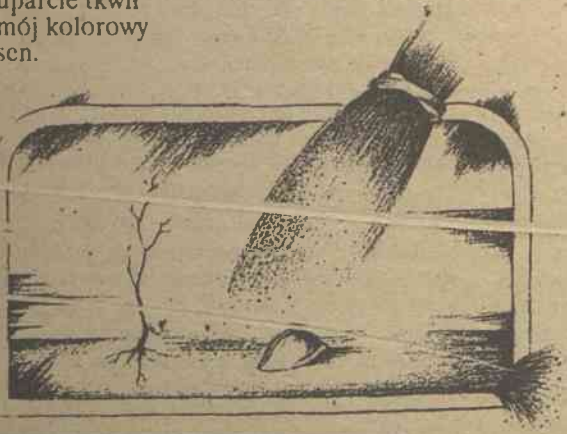
na siebie ster
do kitu kler
mój okręt gna
po ostrzu szkła

na siebie ster
zadusić szmer
choć serce łąka
to czarna msza

na siebie ster
i dziobem w cel

zniszczona biel
splamiony kier

na siebie ster



cierń

poczęty w wiecznej nieznanej
na ziemi jerozolimskiej
bez prawa do życia
bez prawa do śmierci
w domu własnym
a jednak obcy
idę
szukając
oczyma krótkowidza
w błocie
wody źródlanej
krzycząc n i e
machinie przemijania

Kołysanka

- Dziaduniu, dziaduniu - pyta
malec dziadka Wańkowicza -
Nie miałeś dokąd wracać?... A
dokąd ja mam iść?!

Zonie

Zaślubiny (listopadowe obrzędy)

Przyjmij, mała, splendor drzew -
złoto, zieleń, rdzę i krew.
W listopadzie na Zaduszki
włóż go sobie pod poduszkę.
Spluń przez lewe ramię, prawe,
zrób znak krzyża - ale zwawo,
zamknij okno, balkon, drzwi
i spokojnie śpij.
Gdy się zbudzisz tuż nad ranem,
Anioł Pański zmów, po „Amen”
liście zgarnij do talerza -
tu nastąpi akt Przymierza.
Zapał świecę, postaw obok,
mów odważnie - jestem z Tobą:
„Oto, Ojczy, owce Twe.
Dziś z pokorą Ci je śle
zwiastun zimy, śmierci brat,
my go zwiemy Listopad.
Pod całunem - czyścem białym
spoczną wszyscy - tak już dałeś.
Legną obok - dobry, zły,
jednak „Ojczy, pomóż mi.
Chroń przed zdradą i niewiarą,
zakłamaniem wszelkiej miary,
ześlij kochającą dłoń
i przed krzywdą broń...
Teraz dar ofiarny spal,
a ponieważ snu Ci żal,
więc się zdrzemnij godzin parę
i do pracy pełna wiary
raz, dwa, trzy...

kikuty

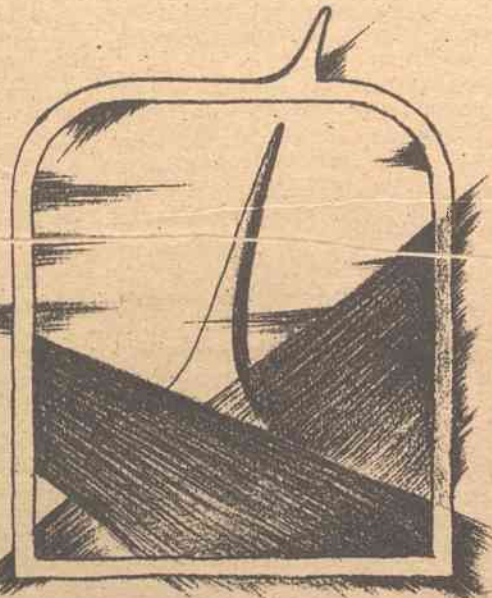
wybite szyby
strzaskane drzwi
płotów kikuty
bezpłodne grędy
konają z cicha
samotne sny
widma - zaścianki
wioskowy pejzaż
a przecież życie
kipiało tutaj
radość i smutek

po izbach szły
baczność w szeregu

w szeregu pustka
wyją po nocach bezdomne psy.

Potomnym

Gdy mózg mój
myśleć przestanie,
a ciało
czerwie stoczą
i prorok fałszywy
czyny me
zacznie wychwalać
i powie,
żem nawet
muchy
nie skrzywdził -
spluńcie
na mój
grób.



Rys. Stanisław Widtmann